

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 31-go marca—7-go kwietnia 1945r.

Rok VII. Nr. 13-14

PRAWDA ZMARTWYCHWSTANIE

Bo oto idą dni Zmartwychwstania
I zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali.

Jan Kasprowicz

W SZÓSTE ŚWIĘTA OBCHODZONE NA OBCYZYŃNIE I W TAK CIĘŻKIEJ CHWILI "POLSKA WALCZĄCA" DZIELI SIĘ ZE SWOIMI CZYTELNIKAMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI, PRZYJACIÓŁMI NIEZACHWIANĄ WIARĄ W RYCHŁE ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI DO WOLNEGO ŻYCIA W WOLNEJ EUROPIE I WOLNYM ŚWIECIE

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego był dla nas podczas tej wojny zawsze sposobnością do krzepienia wiary w zwycięstwo naszej słusznej Sprawy i wyrażania nadziei, że chwila wyzwolenia jest już niedaleka. Dziś — jeśli chcemy być rzetelni względem samych siebie — słowa te mogą nam przejść przez usta jedynie z największą trudnością. Powstała sytuacja wręcz paradoksalna: teraz, właśnie teraz, gdy prawie cała Rzeczpospolita jest już wolna od Niemców, gdy na ziemiach naszych stoją wojska sprzymierzeńca naszych Sprzymierzonych, wobec którego wykazaliśmy lojalność i pojednawczość aż do granic samozaparcia — niepodległość nasza jest bardziej zagrożona, niż kiedykolwiek dotychczas od roku 1939.

Pamiętam wszystkie Święta Zmartwychwstania w kraju, aż do roku ubiegłego włącznie. Pamiętam dobrze pierwsze Zmartwychwstanie. Już wtedy prawdziwy charakter okupacji niemieckiej i zamiar całkowitego wyniszczenia narodu polskiego — dla nikogo nie ulegał wątpliwości. Wiedzieliśmy o tym dobrze, każdy z nas mógł każdej chwili oczekiwać swojej kolei męczeństwa, a jednak nikt nie tracił nadziei. Nieomylnym instynktem, gdy wszelkie rozufowania zawodziły — odczuwaliśmy wszyscy, że okupacja niemiecka w Polsce będzie w historii naszej może najcięższym, ale niewątpliwie krótkotrwałym epizodem. Walczyliśmy z Niemcami, pełni wiary w nasze zwycięstwo i ufni w słowo naszych Sprzymierzonych.

Rok temu stanęliśmy przed niebezpieczeństwem z drugiej strony. Stosunki polsko-sowieckie były nadal niezadawalające. Tymczasem stało się rzeczą jasną, że w ostatniej fazie wojny cała Polska zostanie zajęta przez Armię Czerwoną. Zналиśmy już wydarzenia ponownej sowieckiej okupacji części naszych Ziemi Wschodnich. Wiedzieliśmy o szubienicach rosyjskich, na których na Wołyniu zawieszili żołnierze Armii Krajowej, wrazenie jednak tej wiadomości łagodziła znajomość późniejszego układu Dowódcy Okręgu Wołyńskiego A.K. i zarazem 27 Dywizji Piechoty z Dowództwem Sowieckim. Układ ten, odkładając rozstrzygnięcie spornych zagadnień politycznych na przyszłość — formułował zasady ścisłej współpracy operacyjnej polsko-sowieckiej w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Tym samym Sowiety uznały faktycznie istnienie na ziemiach Rzeczypospolitej — Armii Krajowej, jako części Polskich Sił Zbrojnych, podporządkowanych prawowitym władzom polskim.

Mieliśmy pełne prawo sądzić, że układ ten, przypieczętowany już przez nas krwią i okupiony niebawem, tuż po Świętach Wielkanocnych, śmiercią bohaterskiego Dowódcy 27 D.P. Armii Krajowej — zostanie dotrzymany. Napawało nas to otuchą, że trudna — po świeżych doświadczeniach okupacji sowieckiej z lat 1939/41 i ostatnich kłopotach polsko-sowieckich — decyzja ujawnienia wobec Rosji przez wspólną walkę całego aparatu naszego Państwa Podziemnego — jest celowa i owocna. Mogliśmy przypuszczać, że

nieufność sowiecka, wywołana chyba tylko świadomością krzywdy poprzednio nam wyrządzonej — przysnie w toku boju i ustąpi miejsc przyjaźni pomiędzy współtowarzyszami broni.

Oczywiście, musieliśmy się liczyć i liczyliśmy się z tym także, że wspólna walka nasza przeciwko Niemcom może nie usunąć wszystkich trudności polsko-sowieckich; wiedzieliśmy przecież dobrze, że istotą sporu polsko-sowieckiego jest nie zagadnienie granic, dla Rosji zgoda drugorzędne, ale sprawa naszej niepodległości. Wierzyliśmy wszakże, że przy poparciu naszych Sprzymierzeńców Zachodnich, których dobra wola i stanowczość były dla nas niezachwianym pewnikiem — zachowamy rzeczywiście wolne i suwerenne Państwo Polskie.

Wbrew wszelkim oszczerstwom muszę tu stwierdzić z całą stanowczością, że nikt odpowiedzialny w Kraju nie liczył na anglosasko-rosyjski konflikt zbrojny, powstały na tle naszej sprawy. Tę możliwość wykluczaliśmy bezapelacyjnie z naszych rozważań. Nie sądziliśmy zresztą, aby taki konflikt był w ogóle potrzebny. Żyli-

śmy przekonaniem, że stanowcza, a kiedy trzeba będzie — twarda obrona naszych praw przez aliantów, wynikająca z zaciągniętych względem nas zobowiązań — w zupełności wystarczy.

Tak się złożyło, że w okresie zesłorocznej Wielkanocy napatrzyłem się cierpieniem i śmiercią ludzką. Nie jest to widok krzepiący. A jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że nasze nadzieje i rachuby — są słuszne. Dziś, po roku — jakżeż odległe się wydają tamte czasy, straszne czasy i wspaniałe czasy cierpienia, walki i nadziei.

Opanowuje mnie niepokojąca myśl, że tu na obczyźnie — straciliśmy nawet zdrową zdolność sprawiedliwego oburzenia. Przecież to, co się dzieje obecnie w Polsce — jest jedną wielką zbrodnią, zbrodnią tym straszniejszą, że niemal niemą i zamazywaną przez to, co mianuje się opinią i sumieniem świata. I tylko od czasu do czasu — z ziemi umęczonej zdola dolecieć tutaj, do "białych skał Dowru" krzyk pełen rozpacz.

A jednak wiem — piszę w tej chwili najszczerzą prawdę — że tam w kraju, gdy zabrzmią dzwo-

ny Wielkanocne, serca wszystkich zabiją wielką nadzieją i wielkim, nieskończeniem cierpliwym oczekiwaniem przyszłego Zmartwychwstania w prawdziwie wolnej Polsce.

I nam nie wolno tracić tej nadziei. Mamy czyste sumienie. Nie wierzę, gdy Wam mówić będą, że popełniliśmy wielkie błędy polityczne, których wynikiem jest obecna nasza ciężka sytuacja. Sytuacja ta powstała poza nami, wbrew nam i ponad nami.

Zasadnicze nasze decyzje polityczne były trafne. Władanie Niemiec w Europie byłoby dla naszego narodu zagładą. Szczęśliwie przeto odrzuciliśmy kuszące propozycje koalicji przeciwrosyjskiej. Słusznie podjęliśmy narzuconą nam przez Niemców wojnę i stanęliśmy po stronie sił, których zwycięstwo przewidywaliśmy wbrew wszelkim rozumowaniom i poglądom wielu świeższej daty sojuszników. Podczas wojny walczyliśmy i walczymy ponad wszelkie pochwały.

Wobec Rosji wykazaliśmy nie spotykaną niemal pojednawczość i ustepliwość, mimo strasznych krzywd, które nas od niej spotka-

ły. W niepewnej sytuacji politycznej — nie zawahaliśmy się udzielić Armii Czerwonej całej, na jaką nas było stać w kraju, pomocy w walce przeciwko Niemcom. Nikt nie może nas winić o to, że w pojednawczości naszej nie zesłaliśmy do spodenia. Powiedzieliśmy: NIE dopiero wtedy, gdy stało się rzeczą jasną, że w zamian za dalsze ustępstwa — nie otrzymamy praktycznie nic i że wobec tego nie mają one żadnego sensu.

Dziś widzimy wyraźnie, że sprawa nasza jest ściśle związana ze sprawą całej Europy. Jeśli panoszyć się nad nią będzie brutalna przemoc — nowy kataklizm wojenny jest nieunikniony. Uważamy, że można go zażegnać jedynie przez szczerą współpracę międzynarodową. Wstępem do niej musiałoby być poszanowanie praw i zaniechanie jednostronnych, narzuconych siłą rozstrzygnięć. Od zrozumienia ważności tej zasady przez wolny świat — zależą nasze dalsze losy.

Gdy piszę te słowa, przypomina mi się pożegnanie czytelników przez Redaktora "Biuletynu Informacyjnego" /organu Armii Krajowej, najpoczytniejszego pisma w kraju/, pisane i wydrukowane w Warszawie w dniu 4 października 1944 r., w ostatnim dniu wolności naszej stolicy:

"Pierwszy numer "Biuletynu Informacyjnego" ukazał się 5 listopada 1939 r. Dziś wydajemy ostatni numer powstańczy.

Byliśmy pismem Armii Krajowej. Czuliśmy się pismem całego walczącego Narodu. Z najlepszą wolą i uporem staraliśmy się być sługami prawdy, uczciwości, rozsądku. Usiłowaliśmy torować drogę ku Polsce jutra: demokratycznej i sprawiedliwej społecznie, potężnej kulturowo, zdrowiem gospodarczym i narodową jednością.

Być może nie byliśmy efektywni. Studziłyśmy nieuzasadniony optymizm. Równocześnie jednak przeciwstawialiśmy się bezpłodnemu pesymizmowi; zbyt wielką wagę przykładaliśmy do odpowiedzialności za słowo, sąd i radę. Mieliśmy ambicje raczej wychowawcze, niż propagandowe. Dostąpiliśmy tego szczęścia, iż opinia publiczna okupowanego kraju darzyła nas szczególnym zaufaniem.

Dziś przerywamy pracę. Wznowimy ją, Bóg da, w Niepodległym Państwie.

Niezawodnym towarzyszom pracy: drukarzom, kolporterom i kolporterom mocny uścisk dłoni. Czytelnikom, oddanym przyjaściolom z konspiracji przypominamy zdanie Kasprowicza, które tyle razy widzieli na czele naszych tajnych numerów:

"Błogosławieni, którzy w czasie gromów nie utracili równowagi ducha".

Te krótkie, jakżeż proste i jasne zdania, są nieomal testamentem Armii Krajowej. Trzeba je stałe powtarzać. W czasach, gdy "wolnością" nazywa się niewola, "niepodległością" — podbój, a "demokracją" — tyranie; gdy hasłem walki z wyzyskiem pokrywa się największy wyzysk człowieka. W czasach straszliwego załgania pojęć, potwornej dyktatury kłamstwa — trzeba dążyć do Zmartwychwstania Prawdy, jako do ostatniego ratunku. Walczymy o Polskę, ale walka ta jest jednocześnie walką o oparcie stosunków pomiędzy ludźmi i narodami — na prawdzie i uczciwości.

Dnia 21.III.1945 r.



linoryt JERZEGO FACZYŃSKIEGO

ANDRZEJ POMIAN

KORPUS POLSKI WE WŁOSZECH

NECIERPLIWE PYTANIA

— Jakie są pana wrażenia z pobytu w Drugim Korpusie? — oto pytanie, z którym stykam się stale po powrocie z frontu włoskiego.

— Widzi pan /względnie "pani", "widzisz", i t.p./ to nie jest takie proste. Weźmy na przykład... — zaczynam odpowiedź.

Pytający macha niecierpliwie ręką. On nie chce od niczego zaczynać. Żąda natychmiastowej, zwięzłej — i powiedzmy sobie szczerze — uproszczonej odpowiedzi.

— Czy to wojsko jest bardzo zmęczone? Czy to prawda, że nie chce się teraz bić?

— Skądże — zaprzeczam żywo. — Nie jest na tyle zmęczone, aby...

— A więc, płonie pragnieniem dalszej walki? — uśmiecha się ironicznie ten ktoś, kto jest niecierpliwy i nie lubi długo myśleć.

Jakże tu wytłumaczyć, że pomiędzy zupełną rezygnacją, a t.zw. żądzą boju jest jeszcze ogromny wachlarz odcieni, jest niesłychanie duża skala setek, czy nawet tysięcy przeżyć i poglądów, refleksji i wniosków? Że niekiedy nie trzeba stać na stanowiskach biegunowo sobie przeciwnych, że wiele męki i niepewności musi przejść dusza żołnierza, aby dobrać nareszcie do decyzji, która będzie obowiązująca i stanie się podstawą działania.

Zdenerwowani ludzie londyńscy nie zawsze chcą i potrafią to zrozumieć. Daleka bowiem i długa jest droga z Londynu do Drugiego Korpusu. Nie tylko dlatego, że Włochy są odległe o sporą ilość mil od Wielkiej Brytanii. Drugi Korpus bowiem nie da się zamknąć w pojęciu Włoch, jako kraju i w pojęciu Włoch, jako pól bitewnych. Dusza Drugiego Korpusu, to coś więcej, to coś dużo więcej niż odległość i dzisiejszy front. To także śledztwa, więzienia i lagry, to także arcydługie podróże poprzez Irak i Iran, czasem Afganistan i Indie, poprzez Palestynę i Egipt, to także pustynne hamsiny, miesiące, prawie lata, pod namiotami, tęsknota i oczekiwanie.

Drugi Korpus to jest również Libia i Tobruk, El Alamein i Ghazala, spotkania z *Afrika Korps*, romantyczne dzieje "Ósmej Armii", setki patrolów w żółtych wydymach piaskowych, epepea pościgów i odwrotów, zmęczenia, skradzionej piosenki o "Lili Marlene". I Drugi Korpus, to też — o czym nie zawsze się pamięta — zbuntowana, rozgoryczona Szkocja, która nie chciała dłużej czekać. Szkocja, która dusiła się i dławiała pomiędzy *fish and chips* i *two double nice whiskey*, pomiędzy natarciem w założeniu, a takąż samą w założeniu obroną. Szkocja, która w pewnej chwili zwątpiła w bliskość jakiegokolwiek inwazji, która nie przeczuła Falaise i Chambois, nie wyczarowała w wyobraźni Arnheim i Bredy. Ta Szkocja, która powiedziała sobie: "Dość już tego wszystkiego. Chcemy ruchu, przygody... i szybkiej akcji".

"KOLONIŚCI" EMIGRACJI WOJENNEJ

To jest właśnie Drugi Korpus. Z takich elementów się składa. I o tym trzeba wiedzieć przede wszystkim, gdy się chce znaleźć odpowiedź na pytanie: co myślą "oni" w tej chwili o naszej sytuacji? "Oni", a więc ludzie wyciągnięci z objęć ponurej i powolnej śmierci, ludzie pustynnych piasków i ludzie niespokojnego ducha. Tacy, można powiedzieć, dalecy koloniści wojennej polskiej emigracji. Tacy amerykańscy Angliści XVI-ego i XVII-ego wieku — w polskim i dwudziestowiecznym wydaniu! — którzy z powodu dziwnych zbiegów okoliczności znaleźli się na "rubieżach" oficjalnej naszej myśli i urzędowych naszych działań.

To przebywanie na peryferiach sprawia, iż ludzie we Włoszech na ogół bardziej liczą na możliwości polskiego Londynu, niż tenże Londyn liczy na siebie. To przebywanie na peryferiach sprawia też, że wiadomości czasami docierają za późno. Że — zdarzyć się może — nie zawsze są matematycznie ścisłe. Oto są wady peryferii. Oto ich ujemne strony i cechy uciążliwe.

Ale peryferie mają też i swoje zalety. Ustrzegły się przed ner-

wownością niespokojnego rozstrząsania każdego drobiazgu. Przed wyciąganiem wniosków z opinii angielskiej właścicielki domu, czy też angielskiego brukowego pisemka. Uchroniły się przed "pewną wiadomością z dobrego źródła". Zabezpieczyły się przed naiwną plotką, która tak bezkarnie hula w londyńskich antyszambrach. Stąd też, pomimo odległości, pomimo właśnie prowincjonalności, Drugi Korpus ma nieraz lepsze rozeznanie spraw.

"MAŁENKA POLSKA"

Myliłby się jednak ten, kto by tylko w odległościach, peryferiach i prowincjonalizmie szukał przyczyny różnic. Przyczyna ta jest i głębsza i bardziej uzasadniona.

— Ujrzy pan tu u nas jakby miniaturę Polski, jakby taką małą Polskę, przeniesioną do tego kraju — powiedział generał Władysław Anders, gdy meldowałem się u niego na wstępie mojej włoskiej wyprawy.

Uśmiechnąłem się wówczas — mówiąc szczerze — dość powątpiewająco. Przecież — pomyślałem sobie — wszędzie, gdziekolwiek są Polacy jest także i "małenka Polska". W kompanii wojska, zagubionej w niepozornym, szkockim miasteczku. W podrzędnej filii londyńskiego urzędu, ukrytej gdzieś w zakamarkach Victorii. W redakcji pisma, w zespole teatralnym, w stowarzyszeniu takim czy innym. A cóż dopiero mówić o "małenkiej Polsce", która jest całą dywizją, głośną zwycięstwami, dywizją walczącą od długich miesięcy we Francji, w Belgii i w Holandii?

— To są też "małenkie Polski", panie Generale — powiedziałem z urazą.

Generał uśmiechnął się.

— Zobaczy pan różnicę.

Różnicę zacząłem widzieć bardzo szybko. Nie mogłem jej nie dostrzec, rzucała się w oczy w każ-

dym m.p. oddziałów Korpusu, w każdej jego komóreczce. I na pewno na każdym kroku.

Różnicę tę stanowi, przede wszystkim liczba i jednolitość środowiska, pozbieranego ze wszystkich stron świata.

Przestrzenie dały Drugiemu Korpusowi szeroki oddech. Ciągły ruch dał rozmach myśli. Zwycięstwa — poczucie własnej wartości. Liczba kilkudziesięciu tysięcy ludzi — świadomość własnego znaczenia. A więc to wszystko czego nie ma w tym stopniu wojsko w Szkocji, ćwiczące i reorganizujące się wciąż w tych samych hrabstwach. To, czego nie ma londyński Polak, siedzący nieustannie w coraz mniej gościnnym Londynie. Czego mieć nie potrafi nawet sławna Dywizja na zachodnim froncie, będąca tylko wysepką w morzu alianckiej ofensywy. Wysepką ważną, lecz nie wielką.

"Małenka Polska" na Bliskim Wschodzie — bo Drugi Korpus, to nie tylko Włochy — nie jest wysepką. Jest całością, która zaczyna się gdzieś w Egipcie, czy Palestynie, a kończy się na najdalej wysuniętych stanowiskach włoskiego frontu. Stąd też komórki tej miniatury Kraju nie są przybudówkami, czy przycepkami do czyichś cudzych urzędów. Stąd też teatry nie są "żywym polskim słowem", ale normalną sceną, taką jak wszędzie w prawdziwych krajach. Stąd polskie napisy i tablice na drogach nie budzą zdumienia i nie rozczulają do łez, trudno jest bowiem zdumiewać się na przestrzeni setek kilometrów, a jeszcze trudniej zraszać drogi tej długości rzewnymi łzami. Stąd polskie hotele są po prostu hotelami; polskie domy wypoczynkowe, szpitale, kolonie dla ozdrowieńców, szkoły w Egipcie, czy w Afryce, kluby Imki i t.d. — tworzą rzeczywisty obraz, a nie wizję. Wycinek życia, a nie symbol.

POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI

Zresztą, cóż mówić o polskich teatrach, czy polskich hotelach we Włoszech. Przecież tam była nawet polska "prywatna wojna" z Niemcami. Cała kampania adriatycka, że zdobyciem Ankony włącznie, była samodzielną wojną Drugiego Korpusu, powstałą z polskiej inicjatywy, prowadzoną na podstawie wyłącznie polskich pomysłów i planów. Wojnę, w której po tej, alianckiej stronie frontu siedzi żołnierz polski bez jakiegokolwiek pomocy na szerszą skalę.

Czyż dziwić się więc, że w tych warunkach Drugi Korpus wychodował wśród siebie wiarę we własne siły, że ustrzegł się przed wielu zwątpieniami, że nie ma w sobie — tak jak dość często my na zachodzie — poczucia niższości wobec innych. Ileż to razy powtarzałem wśród nas ostrzegawczo: "obcy na nas patrzą", lub: "to czy tamto nie podoba się Szkotom" lub "co Angliści o nas pomyślą?"... Jakże często naśladowaliśmy nieudolnie cudze zwyczaje i obyczaje, nie rozumiejąc ich treści i sensu...

Drugi Korpus przeważnie z niczyjej gościnności nie korzystał. Jedyna, przez którą większość jego żołnierzy przeszła, była gościnnością osobliwą, ponurą i makabryczną. Za tę gościnność na pewno nie trzeba dziękować... Drugi Korpus do nikogo nie musiał uśmiechać się przymilnie ani też nikomu prawić komplementów. Prawda jego niezależności, jego ważności i udziału we wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi była zawsze tak oczywista, że nikt by jej tam, na śródziemnomorskim teatrze wojny nie ośmielił się poddać w wątpliwość. Że nikt nie zdobyłby się na nieprzyzwoitość wylizania, ile funtów wydano na ten Korpus i kto je będzie w przyszłości zwracał.

PIEŚŃ WIELKANOCNA

Wypuściły się łozy
jak anielskie głosy:
"trzeba z martwych wstać,
z Bogiem królować" —
Alleluja!

ORACZE ku ziemi opuściwszy głowy,
ŻOŁNIERZE wbiwszy broń —
długo patrzę się wilgnymi oczu
ku swojej, swojej stronie.

I NARÓD ŻYWYCH, POSPÓLSTWO, TŁUM

WIERNYCH

oddychać słowem poczyną,
za krami wieków puszcza korzenie,
biało-czerwona wiklina.

Kleknijcie głosy,
w stońcu niebiosy
i narodowe chóry;
święcone bierze,
baranki jedzcie,
maściły je własne rosy.

JERZY FACZYŃSKI

OD SZKOCKIEGO PRZYJACIELA

Scots, English and French soldiers who fought at Cassino have told me that the Mount would not have been conquered if it had not been for the wholehearted bravery of the Poles. Some of the Poles who fought in that heroic engagement have been in Scotland on leave. Others are in hospital, and have been entertained by the Scottish-Polish Society in Glasgow this week. Our visitors include Lieut. Jan Lerski, a young Pole, awarded the Virtuti Militari for leading his countrymen in the ascent of the Mount. He must be the youngest V.C. in Europe.

Just before I started to write this message, a friend telephoned to inform me that his son Matt Inglis is a Liaison Officer in Italy with one of the Polish battalions. Young Inglis has been praising the fighting qualities of the Poles, with whom he wishes to remain until the war ends. He is one of many thousands of Scots who remain loyal to their pledge to work without ceasing for the restoration of Polish liberty and independence.

My nephew, Corporal Jim Dollan, 51st Canadian Troops, has been fighting with the Poles on the Continent since D-Day. He says the Poles are very popular in Holland, where they are greatly appreciated for having liberated Breda and other towns. There is a fellow-feeling between the Dutch and the Poles that strengthens their unity in the common struggle to destroy the Dictators.

But whether the Poles are fighting in Italy and in Holland, we know they will never let their country down. They have a great Commander-in-Chief in General Anders, whose record as a leader is unsurpassed in this war. His name will rank in history alongside that of Kościuszko, Sikorski, Mikołajczyk, Arciszewski and many others who have devoted their talents to the cause of Poland.

We here watch the news of what you are doing, and are as proud of you as we are of our own sons and daughters in the fighting forces.

It will soon be the fifth anniversary of the Poles' arrival in Scotland to assist us at a time when we had few men and little equipment. We are going to celebrate the fifth anniversary in great style and in the hope that it will be the prelude to the emancipation of the Poles wherever they may be. So please remember the words of our famous songster, Sir Harry Lauder:

"Keep right on till the end of the road and all will be well."

Poland for ever!

Żołnierze szkoccy, angielscy i francuscy, którzy walczyli pod Cassino opowiadali mi, że Góra Kassynska nie dostałaby się w nasze ręce, gdyby nie wspinał się Polaków. Niektórzy Polacy, którzy brali udział w tej bohaterkiej bitwie przebywali na urlopie w Szkocji. Inni przebywają tu w szpitalach i byli w tym tygodniu podejmowani przez Towarzystwo Szkocko-Polskie w Glasgowie. Wśród naszych gości znajduje się por. Jan Lerski, młody Polak odznaczony Krzyżem "Virtuti Militari" za dowodzenie swoimi rodakami przy wdzieraniu się na Górę. Przypuszczalnie jest on najmłodszym żołnierzem w Europie, noszącym tak wysokie odznaczenie.

Właśnie nim zacząłem pisać te słowa zatelefonował do mnie przyjaciel z wiadomością, że syn jego Matt Inglis jest oficerem łącznikowym przy polskich oddziałach we Włoszech. Młody Inglis chwalił zdolności bojowe Polaków i pragnie z nimi pozostać aż do końca wojny. Jest on jednym z tych wielu tysięcy Szkotów, którzy zostaną wierni swym zobowiązaniom nieprzerwanej pracy dla odbudowy polskiej wolności i niepodległości.

Bratanek mój, kapral Jim Dollan, służący w wojsku kanadyjskim, walczył razem z Polakami na kontynencie od dnia inwazji. Opowiadał on, że Polacy są bardzo lubiani w Holandii, gdzie zyskali sobie ogromną wdzięczność za uwolnienie Bredy i innych miast. Holendrów i Polaków łączy uczucie wspólnoty, które wzmacnia jedność w zgodnym wysiłku zniszczenia wroga.

Ale my wiemy, że Polacy walcząc we Włoszech czy w Holandii, nigdy nie zawiodą swego własnego kraju. Mają oni wielkiego dowódcę w osobie generała Andersa, którego czyny są nieprześcignione w tej wojnie. Imię jego przejdzie do historii obok imienia Kościuszki, Sikorskiego, Mikołajczyka, Arciszewskiego i wielu innych, którzy oddali swe zdolności sprawie Polski.

Śledzimy tutaj pilnie nowiny o tym, co wy robicie i jesteśmy tak samo dumni z was, jak z naszych synów i córek, służących w siłach zbrojnych.

W niedługim czasie przypadnie piąta rocznica przybycia Polaków do Szkocji po to, aby nam pomóc, wtedy, kiedy mieliśmy mało żołnierzy i niewiele sprzętu. Tę piątą rocznicę będziemy obchodzili bardzo uroczysto i w nadziei, że będzie ona wstępem do uwolnienia Polaków wszędzie, gdziekolwiek oni się znajdują. Pamiętajcie słowa naszego słynnego pieśniarza Sir Harry Lauder'a:

"Wytrwaj aż do końca drogi i wszystko będzie dobrze".

Niech żyje Polska!

SIR PATRICK DOLLAN

Może więc sobie Drugi Korpus pozwolić na niesłychany w dzisiejszych czasach zbytek: na dumę narodową. Manifestuje się ona nie w szorstkości, nieobyczajności, czy zgola w prostactwie. Nie w taniutkich, a głośnych wykrzyknikach. Duma narodowa Drugiego Korpusu wyraża się w spokojnej, pełnej godności postawie. W ściąganiu nerwów w cugle. W wykonywaniu zobowiązań, pomimo że kto inny tych zobowiązań nie wykonał. W dotrzymywaniu słowa, pomimo że kto inny tego słowa nie dotrzymał.

I w wierze. I w optymizmie. Na czym opiera się wiara? Gdzie jest źródło optymizmu?

Nie jestem żołnierzem Drugiego Korpusu. Byłem tam krótko i nie mam prawa w imieniu tamtego Korpusu zabierać głosu — uzasadniać wiary tamtych ludzi, uprawdopodobniać ich optymizmu. Ale przypominam sobie dwie, jakże charakterystyczne, rozmowy.

DWIE ROZMOWY

— ... a jeśli nie wrócimy do tej Mejszagoly? — zapytałem któregoś dnia starszego strzelca z batalionu "Żbików". Dywizji Kresowej. "Kresowy Żbik" bowiem rozsnuwał przed moimi oczami projekty "wileńszczyckiej" przyszłości, odbudowy i unowocześnienia swego gospodarstwa /znajdującego się właśnie pod tą Mejszagolą/, zastosowania jakichś tam niesłychanych ulepszeń, podpatrzonych niegdys u przemysłnych chaluców w słonecznej Palestynie.

— Dlaczego mamy nie wrócić? — rzucił się st. strzelec na mnie z furją. — Ja nawet do siebie takiej myśli nie dopuszczam. Boga by nie było chyba na niebie i tej odrobiny sprawiedliwości na ziemi, gdyby my mieli nie wrócić.

W parę dni później rozmawiałem z pułkownikiem Klemensem R., który opowiadał mi o walkach pod Monte Cassino.

— Najdziwniejszym obrazem, jaki pamiętam z tej akcji — mówił pułkownik — był widok płaczących żołnierzy. Jeden z naszych plutonów doszedł pod same niemieckie bunkry i... zabrakło mu amunicji. Żołnierze zaczęli chwycić kamienie i rzucać je w kierunku bunkrów. Ryczeli i plakali przy tym jak dzieci. Ze złości, z wściekłości, że oto tak blisko dotarli do nieprzyjaciela i są wobec niego bezsilni...

— Histeria — przerwałem pułkownikowi.

— Być może, proszę pana. Może histeria. Ale, panie, oni ten bunkier zdobyli!

— Czym? Kamieniami?

— Nie, drogi panie, kamienie i lzy były z wściekłości. Potem przyszła amunicja. Chodziło o to, aby tej amunicji się doczekać, aby nie wycofać się od razu, dlatego, że jej nie ma. Histeria, o której pan tak lekko mówi, lzy, z których ktoś obcy potrafi się śmiać, wypłynęły z walki, z sytuacji i nastroju. Niech pan nie kpi z kamieni, bo w bitwie, bo w każdej bitwie trzeba mobilizować wszystko. Nawet kamienie... gdy zabraknie amunicji.

ŹRÓDŁA WIARY I UFNOŚCI

W bitwie trzeba mobilizować wszystko... Prawdę tę zna Drugi Korpus z wielu epizodów. Pod tymże Monte Cassino, w ostatnim dniu natarcia na Klasztor, gdy już zabrakło na jednym z odcinków oddziałów liniowych, poszła ostatnia — dosłownie ostatnia — kompania. Poszły kancelarie, poszli pocztowi, sanitariusze, wrócili pod ogień nawet lekko ranni. I Klasztor został zdobyty!

Jak wiele zaś ciężkich chwil było pod Monte Cairo, pod Ankoną, nad Metauro, w Pessaro, w Predappio i na tyłu innych miejscach walk, na tyłu innych miejscach triumfów Drugiego Korpusu! Przetrwano ciężkie chwile. Przełamano opory. Osiągnięto cele. I stąd — ze zwycięstw, które przecież nie przyszły za darmo — wyrasta optymizm.

Na barwnej, nieprawdopodobnie bogatej w najdziwniejsze zdarzenia przeszłości opiera się zaufanie Drugiego Korpusu w przyszłość. Na przekonaniu, że jednak światem nie mogą rządzić na stałe nonsens, ucisk, niesprawiedliwość — opiera się jego wiara.

Taki — sądzę — jest Drugi Korpus.

MAREK ŚWIĘCICKI

Polska poezja wojenna

LEGIONY DĄBROWSKIEGO



ODDANIE DĄBROWSKIEMU NA KAPITOLU SZTANDARU
TURECKIEGO Z LORETO, ZDOBYTEGO PRZEZ SOBIESKIEGO
rysunek Pierraciniego

WIERSZ DO LEGIÓW POLSKICH*

Tak, gdy niegdyś Pers dumny, wszystkie siły Wschodu
Na zagładę greckiego poruszył narodu,
Tworząc dziwy na ziemnym i wodnym przestworzu,
Płynął, gdzie były góry, przechodził po morzu;
A pomstę swoich przodków mając w przedsięwzięciu,
Na jednego Greczyna swych zbroń dziesięciu;
Ateńczyk chcąc odeprzeć napaśnicze tłumy,
Rzuca miasto, ten przedmiot najeźdźnika dumy,
Łącząc siłę i rozpacz z miłością ojczyzny,
Idzie walczyć z nachodzącą, wśród morskiej płaszczyzny;
I ten, co się na ziemi rozgościł był Greka,
Pan tysiąca okrętów, na barcę ucieka.

Z równym i wy ojczyznę rzucili zapalem!
Choć szczęście Aten waszym nie było udziałem,
Przynajmniej wasza chwala nie jest pośledniejsza:
Los przeciwny, szacunku ofiary nie zmniejsza.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazuruwce toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber, skrapiając Scypionów zwoleki,
Zazdrośny sławy Rzymu, w swym łonie głębokiem,
Ukrywa twórcze dzieła przed najeźdźcą okiem,
I skąd nie syty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła, a drugim stał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy nad pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybołów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, na kształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła, pokazywał światu;
Gdzie bystry Dunaj, świadek tyłu krwawych bojów,
Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa;
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczajów,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju.
I nie przedziej to stódkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszcze krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkancie zdziwiony.
Trwożnym okiem przebiega obce legiony;
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada:
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
"Może umysł napadów albo zwycięstw chciwy,
Nowych wiedzy Attyłów na Auzońskie niwy?"
Nie. — To naród szlachetny, tagodny, spokojny:
Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał wojny.
"Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba
Zagnęły tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odlogów,
Lubym niegdyś pobylem była ojca bogów?"
Nie. — Zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody;
Gościnnie, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
"Może smutne Pergamu rzuciwszy zwałiska,
Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
Chcąc na wzór Eneaszów nowym państwem stynąć?"
Nie. — Przyszli kraj swój zbawić lub za niego zginąć.

Ale próżne, niestety, zamiary i znoje.
Jak nie dla siebie znoszą miód pracowne roje,
Jak nie sobie pod jarzmem wół kraje zagony,
Równie kto inny zebrał pracy waszej plony.
Co za smutne uczucie dla Polaka duszy!
Lecz nowy jakiś odgłos uderza me uszy:
Auzończyk, wsparty dzielnym Lechity ramieniem,
Niesie mu hold wdzięczności swym ponętym pieniem;
A nie mogąc mu równym odstąpić wymiarem,
Płaci jego ofiary obietnicy darem.

Brzeg auzoński za maty na wasze był czynny:
Sława was w odległejsze wzywała krainy;
Kedy ojcie szukaty winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło ojczyzny zbawienia.
Tam, okryty laurami na werońskim polu,
Dziennie rozkazy Polak dawał z Kapitolu;
I gdzie bagna pontuńskie dech zabójczy zioną,
Wszędy widziano ziemię, krwią jego zbroczoną;
Walczać mężnie na polach nowej Partenopy.
Utkwił sztandar sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwycięskim krokiem okolice,
Zdobyl w pamiątki męstwa niewdzięcznych stolice.
Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrzac na zholdowane i ludy i ziemię,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty,
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

* Fragment.

CYPRIAN GODEBSKI

(1797-1801)

PIEŚN LEGIONÓW POLSKICH WE WŁOSZECH

Jeszcze Polska nie umarła,
kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydarła,
szablą odbijemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
wracal się przez morze
dla ojczyzny ratowania
po szwedzkim rozbiorze,

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.



JÓZEF WYBICKI
portret Bacciarellego

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
gdy jawniej pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i ojczyzna nasza.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Już tam ojciec do swej Basi
mówi zapłakany:
"Słuchaj jeno, pono nasi
biją w tarabany".

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

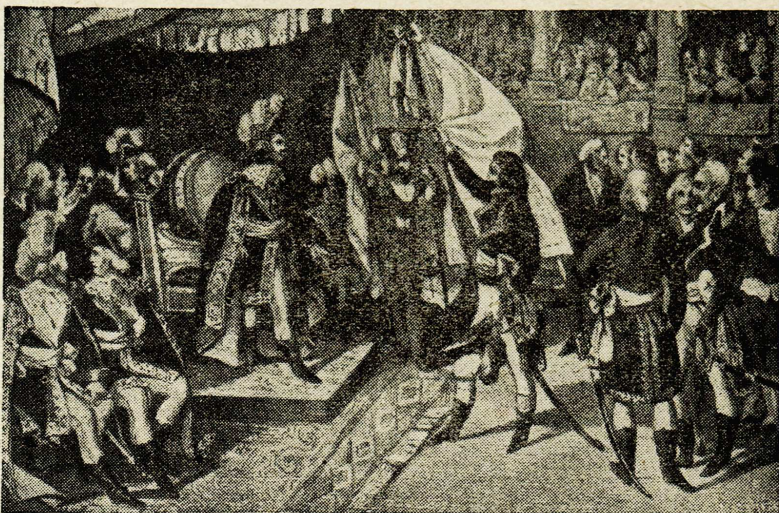
Na to wszystkich jedne głosy:
"Dostyc tej niewoli.
Mamy raclawickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli".

JÓZEF WYBICKI

Legiony polskie powstały w r. 1797
we Włoszech, walcząc po stronie re-
publiki francuskiej. Odznaczyły się
chlubnie w szeregu bitew, jak pod
Magnano i pod Novi, nad Trebią
i nad Adygą. Po pokoju, który Fran-
cja zawarła z Austrią w Luneville
/1801/, legiony przekształcono w pół-
brigady francuskie i wysłano na San
Domingo. Niedobitki posłużyły jako
kadry wojska Księstwa Warszaw-
skiego, które zaczęto formować
w r. 1806.

"Pieśń legionów polskich", zna-
na powszechnie jako "Mazurek Dą-
browskiego", polski hymn narodowy,
powstała w r. 1797 zapewne w Reg-
gio. Stworzył ją znakomity polski
mał stanu Józef Wybicki /1747 —
1822/. "Wiersz do legiów polskich"
napisał Cyprian Godebski /1765 —
1809/, świetny poeta i żołnierz, któ-
ry jako pułkownik 8-go pułku pie-
choty zginął później w bitwie pod
Raszynem. Kazimierz Brodziński
/1797 — 1835/, autor "Legionisty",
wybitny krytyk i poeta, w kampanii
moskiewskiej dosłużył się stopnia
porucznika, był ranny w bitwie pod
Lipskiem, rozwinął ożywioną działal-
ność propagandową w czasie powsta-
nia listopadowego.

Tekst "Pieśni legionów" wzięli-
śmy ze szkicu Ignacego Chrzanow-
skiego "Nasz hymn narodowy"
/Lwów 1922/, wiersz Godebskiego —
z t.II jego "Dzieł" /Warszawa
1821/, wiersz Brodzińskiego — z t.II
"Stu lat myśli polskiej" /Warszawa
1907/, ilustracje — z t.II wydawnic-
twa "Polska, jej dzieje i kultura"
/Warszawa 1937/ oraz z albumu
Ernesta Łunińskiego "Napoleon
i legiony" /Warszawa 1912/.



KNIAZIEWICZ WRĘCZA DYREKTORIATOWI W PARYŻU 35
SZTANDARÓW ZDOBYTYCH NA NEAPOLITAŃCZYKACH
kompozycja Oleszczyńskiego

LEGIONISTA*

LEGIONISTA

Piękną włoską krainą bieży konik wrony,
Jedzie młody Lechita smętny, zamyślony;
Przed domem obok drogi stojąca rodzina
Poznaje po odzieży obcej ziemi syna.
Zatrzymuje go w drodze gościnnymi słowy
I takie z cudzoziemcem prowadzi rozmowy.

WŁOCH

Białowłose młodzińcze rumianego lica!
Jaka ciebie po świecie uwodzi tęsknica?
Po co ci między obcych z dalekiej północy?
Jaki stan twój? Jakowej zażądasz pomocy?

LEGIONISTA

Ojczyzna stanem moim, bom syn polskiej ziemi.
Wydartą mi została! Pomiędzy obcemi
Pójdę się dostugiwać i przez krew i blizny,
By przechować choć jedną kroplę dla ojczyzny.
Ja milować, jej służyć — to nauki moje,
Całą moją puszczą — to po ojcu zbroje!
Gdyście radzi dopomóc, niech od was usłyszę:
Dalekoli ożreżni moi towarzysze?
Ojciec, któregom w domu niemocy zostawił,
Z szablą, sobie niezdatną, do nich mię wyprawił.

WŁOCH

Zwodna twoja otucha, nieszczerzny młodzianie!
Naród ginie, jak człowiek: z grobu nie powstanie!
Był-ci i Rzym potężny: możne jego pany
Przez całą kulę ziemską rozciągły kajdany.
A w gruzy się rozsypał! Bo wszystkim czas władza,
Wszystko, jak owoc, kwitnie, cięży i upada.

LEGIONISTA

Żelazną zastymnęły potęgą Rzymianin,
Miecz zdobywał ich kraje, trzymały kajdany:
U nas plugiem żelazo, złotem były kłosy,
Koń do boju i roli, do obrony kosy.
Własneśmy tylko ziemię po ojcach orali,
Na swoich tylko miedzach szable zatykali.
A kiedyśmy porządkiem wolność wieńczyć chcieli,
Obcy na pola nasze zewsząd się zbieżeli...
Jeszczej mojej ojczyźnie nie biła godzina,
Gdy dotąd duch jej czuwa w krwi każdego syna.
Gdy wolność czuć przestali, upadli Rzymianie.
Ja pójdę na kraj świata, aby walczyć za nią.

WŁOCH

Jednego ojca słońce świeci całej ziemi;
Gdzieś, kochając, kochany, tam żyjesz ze swemi.
Tu cię ziemia wesół niech cieszy, wygnańcze!
Tu oliwa, tu wonne ciężą pomarańcze:
Porzuć zbroję zawodną i tu osiadz z nami,
Nie płacz zgastęj ojczyznę nad Rzymian gruzami!

LEGIONISTA

Choć pod niebem zimniejszym kwitną moje niwy,
Nie rodzą winnych jagód, ni wonnej oliwy.
Milsze przecię równiny wzdłuż podnoża Tatrów,
Gdzie kłosy kotysane, jak morze od wiatrów.
Kłaniają się, niebieskim bławatem wieńczone,
Gdzie nam góry żelazo kryją na obronę.
Z tymi tylko skarbami, nie zającąc nikomu,
Żyć pragnę, jeśli wrócę do rodziców domu.

WŁOCH

O, luby mój młodzianie! W lat wiosennych dobie
Ta surowość, ten smutek nie przystoi tobie.
Użyj chwili wesolej, a sprawe twej ziemi
Zostaw Boga wyrokom, Króla nad wszystkimi.
Czarnobrewa dziewica niewolącym głosem
Uśpi tu twoje troski, pomści się nad losem;
Przy niej twoja rodzina i ziemia tu będzie:
Dla dobrych, dla kochanych jest ojczyzna wszędzie!

LEGIONISTA

Ze łzami ja sasiadnia dziewicę żegnalem:
Ojczyzna tylko mogła być naszym rozdzielalem!
Jeśli kiedy po długiej wróce poniewierce,
Wolny, oddam broń ojcu, a kochance — serce;
Polaczu nas ojczyzna, bo przysięga dienna
Jest u mnie razem wolność z wiernością niezmienną.

Tak gdy mówił, posłyszał ukraińskie dumy:
Ciagna z góry cieniściej legionów tłumy;
Jako strzała, naprzeciw leci konik wrony,
Potomek wolnych Rzymian stoi zadziwiony.

* Fragment.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

Powstanie Warszawskie

Z warszawskiego "Biuletynu Informacyjnego" — organu Armii Krajowej — przedrukujemy obszernie omówienie przyczyn Powstania Warszawskiego.

Serca i umysły nasze, wstrząśnięte stratami najbliższych, poruszone do głębi potwornościami zniszczonej Stolicy oraz wzręcznym bohaterstwem powstańczej Warszawy — usiłują ogarnąć istotę tego co się stało i co pozostało w nas, jako największe i najcenniejsze wspomnienie naszego życia.

Czym jest Powstanie? Skąd te trudności, które się wokół niego spiętrzyły? Jaki dorobek pozostawi ono Polsce?

W kolejnych numerach "Biuletynu Informacyjnego" postaramy się rozważyć te pytania.

I. CZYM JEST POWSTANIE WARSZAWSKIE?

W całości naszej pięcioletniej walki o wolność, Powstanie nie było nieoczekiwanym i podyktowanym szczególnymi względami aktem wojennym i politycznym. Było i jest natomiast jednym z licznych i naturalnych ogniw polskiej śmiertelnej walki z najeźdźcą germańskim.

Sytuację Powstania komplikował brak ułożonych stosunków z wkraczającymi wojskami Armii Czerwonej. Brak ten ciążył jednak nie tylko nad polityczną i wojenną sytuacją Powstania, lecz nad całością naszego wysiłku zbrojnego od momentu, kiedy w styczniu 1944 roku wojska sowieckie wkroczyły w granice Rzeczypospolitej. Już w owym czasie powstała i do dziś trwa ta niejasna sytuacja. Sowieckiej ofensywie w głąb Polski towarzyszy brak ułożonych stosunków między rządami polskim i sowieckim.

Ten brak stosunków płynie stąd, że nieustępliwym ustępnym żądaniem sowieckim przy wszystkich rozmowach dyplomatycznych było i jest: 1. zerwanie się przez Polskę wschodniej połowy terytorium państwowego, 2. takie przekształcenie rządu, któreby doraźnie zerwało ciągłość naszej samodzielnej egzystencji państwowej, w skutkach zaś uczyniło z Polski państwo o ograniczonej niepodległości.

Nie można przyjąć tak ciężkich i godzących w nasz byt warunków, a pragnąc dalej prowadzić swą śmiertelną walkę z Niemcami — Rząd Polski, w momencie wkraczania Armii Czerwonej w ziemie Rzeszy, zdecydował się mimo braku formalnych z Sowietami układów, w spó-

dziatać faktycznie z Armią Czerwoną w zwalczaniu Niemców.

Toteż w miarę sześciomiesięcznego posuwania się przez Polskę frontu — na tyłach wojsk niemieckich mnożyły się polskie działania partyzanckie, nieraz o bardzo silnym natężeniu /n.p. na Wołyniu/. Wybuchły także lokalne powstania przeciw Niemcom — jak na przykład we Lwowie, Wilnie i na Lubelszczyźnie.

Pomimo ciężkich przeżyć, jakie towarzyszyły naszym oddziałom na zajętych przez wojska sowieckie częściach Kraju — wytrwaliśmy do dziś niezłomnie w zbrojnej i czynnej walce z Niemcami. Albowiem na ziemiach polskich rozgrywa się nie tylko wojna sowiecko-niemiecka. Rozgrywa się nade wszystko wojna polsko-niemiecka.

Wojskowa bierność Kraju w obliczu zachodzących wydarzeń byłaby nie do pomyślenia i nie do wykonania. Współdziałając z wojskami Armii Czerwonej, dawaliśmy równocześnie naszą walkę wyraz uświadomieniu Wolności i Niepodległości. Wyrażaliśmy także naszą naturalną nienawiść do wspólnego niemieckiego wroga. Wreszcie przejawialiśmy jedynie słuszną — bo czynną — postawę w walce o wyzwolenie Ojczyzny.

Powstanie Warszawskie było dalszym i naturalnym fragmentem tej walki, było dalszym ciągiem tej samej linii postępowania, płynącej z poczucia, że lejąc ofiarną krew na polach bitew całego świata — żołnierz polski nie mógł być biernym widzem walk, które toczyły się na jego ziemi ojczystej. ("Biuletyn Informacyjny", rok VI, nr. 90 /298/, Warszawa, piątek 22 września 1944 r.)

II. ODOSONBIENIE I JEGO SKUTKI

Najtragiczniejszym wydarzeniem Powstania Warszawskiego było słabe, doraźne i nacechowane trudnościami współdziałanie wojskowe z Powstaniem zarówno Aliantów Zachodnich, jak i Sowietów.

Też Narodów Sprzymierzonych było: śpieszyć z pomocą każdemu, kto walczy z Hitlerem. Nam tego poparcia w dostatecznej mierze nie dano.

Różnie wyjaśniano to odosobnienie. Ostatecznie jednak półoficjalne wyjaśnienia angielskie dają do zrozumienia, iż przyczyną wstrętności Aliantów Zachodnich była niechęć Rosji do interwencji alianckiej na sowieckich terenach operacyjnych.

Jeżeli zaś chodzi o negatywny stosunek do Powstania Dowództwa sowieckiego, to oświadczenia sowieckie podają — jako motyw zasadniczy — brak uzgodnienia działań powstańczych z Rządem i Dowództwem sowieckim.

Sprawa bynajmniej nie przedstawia się tak prosto.

Doraźne i lokalne próby porozumienia się dowódców partyzantki polskiej i naszych lokalnych powstań z dowódcami sowieckimi na Kresach Wschodnich i w Lubelszczyźnie nie dały w żadnym wypadku pozytywnych osiągnięć. Dowódców tych stawiano bowiem z reguły w obliczu żądań zerwania z Rządem w Londynie i Dowództwem Armii Krajowej oraz podporządkowania się polskiemu ośrodkowi politycznemu i wojskowemu, działającym z upoważnienia Z.S.R.R.

Mimo tych politycznych warunków i w związku z tym trudności pełnego porozumienia — dowódcy nasi z uporem i konsekwencją ponawiali próby współpracy taktycznej z dowódcami sowieckimi, odsyłając równocześnie władze sowieckie w sprawach ogólnopolitycznych do rozmów bezpośrednich z naszym Rządem.

Jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie, to tuż przed jego wybuchem Rząd Polski uczynił zasadniczy krok w kierunku porozumienia się z Rosją. Krokiem tym był wyjazd Premiera Mikołajczyka do Moskwy, mający na celu pełne ułożenie stosunków polsko-sowieckich. Jeśli pobyt Mikołajczyka w Moskwie nie przyniósł ani Polsce ani Powstaniu żadnej ulgi — to w każdym razie może wystarczyć do obalenia zarzutu, iż ze strony polskiej nie było wysiłku w dążeniu do porozumienia się.

Premier Mikołajczyk po powrocie z Rosji uczynił jeszcze jeden krok w kierunku porozumienia: wysłał memorandum, zawierające projekt układu polsko-sowieckiego. Między innymi projekt ten gwarantował Sowietom przebudowę Rządu Polskiego, dającą Związkowi Sowieckiemu poczucie, iż nowy rząd będzie rządem gwarantującym dobre i przyjazne sąsiedztwo. Na memorandum to Mikołajczyk do dziś nie doczekał się odpowiedzi, ani ze strony Moskwy, ani ze strony lubelskiego "Komitetu Wyzwolenia Narodowego".

Równoległe do rządowych wysiłków, zmierzających ku zasadniczemu rozwiązaniu trudności porozumienia się z Sowietami — towarzyszyły Powstaniu próby Dowództwa Armii Krajowej nawiązania z Dowództwem sowieckim współdziałania doraźnego, ściśle wojskowego.

Próby te na ogół nie dawały wy-

ników. W rezultacie przez sześć pierwszych tygodni Powstanie Warszawskie walczyło niemal w całkowitym odosobnieniu, przy ofiarnych, lecz rzadkich i mało skutecznych przejawach angielskiej pomocy lotniczej.

Dopiero w siódmym tygodniu stan ten uległ poważniejszej zmianie. Wielka wyprawa amerykańska, obfite zrzućty sowieckie, skuteczna ochrona stolicy przez lotnictwo sowieckie, sowieckie współdziałanie artyleryjskie, oficerowie sowieccy zrzućcy dla zorganizowania łączności — wszystkie te fakty dowodzą, jak skuteczne może być współdziałanie taktyczne, gdy druga strona ma wolę współdziałania.

Dziś odosobnienie Powstania należy do przeszłości.*

Gdy ktokolwiek twierdzi, że długotrwałe odosobnienie Warszawy było winą strony polskiej — ten zamyka oczy na nasze, jakże liczne wysiłki powijania własnej walki z walką Zjednoczonych Narodów. (Nr. 91 /299/, Warszawa, sobota 23 września 1944 r.)

III. BEZPOŚREDNIE WARUNKI WYBUCHU

Bierność wojskowa Warszawy w obliczu podchodzącego do Wisły frontu — była nie do pomyślenia. To rozumieją wszyscy. Natomiast wokół terminu wybuchu Powstania toczy się od pierwszej chwili dyskusja i spory.

O dacie wybuchu Powstania decydowały, rzecz oczywista, względy przede wszystkim wojskowe. Te właśnie względy — a nie powody polityczne — miały wówczas głos decydujący.

Nie mamy miarodajnego nasświetlenia bezpośrednich wojskowych przyczyn, które zdecydowały o wybuchu. To jednak co wiemy pozwala sądzić, iż decyzja o czasie wybuchu Powstania zapadła nade wszystko na skutek ogromnego wzrostu zagrożenia przygotowanymi powstańcami ze strony niemieckiej.

Mianowicie w ostatnich dniach lipca wzrosły w bardzo znacznej mierze likwidacje przez Gestapo magazynów broni oraz aresztowania placówek organizacyjnych,

* Słowa te były pisane w dniu 23.IX.1944 r., gdy pod świeżym stosunkowo wrażeniem obecności Armii Czerwonej na wschodnim, praskim brzegu Wisły, oraz pomocy w postaci sowieckich zrzućty nocnych i amerykańskiej wyprawy lotniczej /18.IX./ — można było się spodziewać, że Warszawa nie zostanie pozostawiona swemu własnemu losowi i że Armia Czerwona zdoła wypędzić z miasta Niemców w ciągu kilku dni. Niestety rzeczywistość okazała, że nadzieje te spełziły na niczym.

świadczące wyraźnie o przygotowaniu wielkiego ataku policji niemieckiej na polskie formacje wojskowe. Równocześnie na ulicach miasta w ostatnich trzech dniach przed Powstaniem w szeregu punktów miasta zostały wystawione posterunki broni maszynowej, a w kilku węzłowych miejscach, jak n.p. na Żoliborskim wiadukcie — posterunki czołgowe.

Przygotowania te dawały podstawy do twierdzenia, iż władze niemieckie lada dzień przystąpią do urzeczywistnienia z dawną opracowaną, lecz dotychczas odkładanego planu masowego wybrania ludności męskiej stolicy.

Pociągło by to za sobą, rzecz oczywista, konieczność naturalnego oporu i samorządny wybuch Powstania w warunkach zupełnego chaosu.

Nie wolno było w żadnej mierze dopuścić do wybuchu niezorganizowanego, samorządnego, spowodowanego przez wroga. Z drugiej strony nie można było przeciwstawić się naturalnej dążności żołnierza do walki i oporu. Żołnierz, który przez pięć lat zbierał i chronił swą broń z największym narażeniem własnego życia i życia najbliższych — nie mógł mieć tej broni wytrąconej z ręki przez bierność własnego dowódcy. Żołnierzowi temu groziło zresztą, że zostanie nie tylko pozbawiony walki, do której się tyle przygotowywał i tęsknił, lecz równocześnie, że będzie użyty przez okupanta dla jego celów wojennych.

Decyzje o Powstaniu zapadały przy akompaniamencie dalekich, lecz zbliżających się stale odgłosów ognia artyleryjskiego z przysuwającego się frontu. Wiadomo było, że patroli sowieckie operują już na przedmieściach Pragi i że niemieckie przygotowania do zamiany Warszawy na wielkie pole boju zdawały się wchodzić w stadium realizacji, grożąc stolicy wszelkimi tego skutkami.

W tych okolicznościach podjęliśmy walkę, której celem wojskowym było opanowanie miasta, będące w danych warunkach najbardziej naturalną formą współdziałania wojskowego z Armią Czerwoną. Chodziło tu również o przyspieszenie momentu, w którym wojna przewali się przez miasto, a tym samym zaoszczędzenie Stolicy zniszczeń wojennych.

Losy każdej wojny są zmienne. Wzmocniony opór niemiecki, powodujący powstrzymanie ofensywy sowieckiej tuż u bram Warszawy w pierwszych dniach Powstania — stworzyły zupełnie nowy i odmienny obraz sytuacji. Powstanie Warszawskie stało się walką ponad wszelkie oczekiwania ciężką i przeulekłą.

(Nr. 93 /301/, Warszawa, poniedziałek 25 września 1944 r.)

Wychodzę z Warszawy

Przez pięć lat okupacji mieszkalem w Warszawie. Jako żołnierz Armii Krajowej uczestniczyłem w Powstaniu Warszawskim. Dziś gdy los rzucił mnie do Londynu, nie mogę oprzeć się wspomnieniom o przeżytej doli i niedoli. Nie mogę się też oprzeć wspomnieniom o tej chwili, w której po raz ostatni widziałem to, co pozostało z naszej Stolicy.

30 września. Huk dział, huk rozrywających się pocisków, trzask karabinów maszynowych trwa bez przerwy. Wieczorem nieoczekiwana wiadomość. Władze nasze nakazują ewakuację ludności cywilnej. Wiadomość ta z piwnicy do piwnicy rozchodzi się błyskawicznie. Krząta najrozmaitsze plotki i domysły. Ludność jest podniecona. Twarze posępne, zamysłone. Tu i ówdzie słychać szloch kobiet. Człowiek przyzwyczaił się już do nowych warunków, chociaż na gruzach, bez wody, bez prymitywnych wygód, ale u siebie, wśród najbliższych żyjących i wśród grobów najbliższych.

1 października rano: cisza. Zawieszenie broni. Wiadomość rozchodzi się błyskawicznie. To ostatnie godziny walczącej Warszawy. Ludność z podziemi wychodzi tłumnie na ulice. Ruch niebawym. Na Al. Sikorskiego można już przejechać przez jezdnię.

Zaczynają się poszukiwania rodzin i znajomych. Ludzie wracają do swoich domów spalonych i zburzonych. Każdy jest zajęty. Każdy czegoś szuka. Na ulicy Wspólnej na gruzach jakiegoś domu sie-

dzi kobieta na pół ubrana. Oczy błędne, śmiejąca się — obłąkana. Takich wiele.

Widac już pierwsze grupy ludzi z tobołkami zdążających w kierunku zachodnim. Ulice są zatarasowane, pełno gruzów, pełno narozmaitszych rzeczy na chodnikach i jezdniach. Trzeba posuwać się bardzo ostrożnie. Żołnierze nasi pomagają ludności, niosą jej dobytek, niosą dzieci i starców. Strasznie wygląda ten pochód.

5 października dołączam do jednej z takich grup. Mój majątek to mały woreczek na plecach. Dochodzimy do barykady przy ul. Koszykowej i Polnej. Tu ostatnia nasza placówka. Tu kończy się wolność. Krok — i rozpoczyna się nowa niewola. Po obu stronach ulic stoją żołnierze niemieccy. Przyłączam się do jakiejś kobiety, która prowadzi wózek dziecienny.

Idziemy przez Ochotę, kierując się do Dworca Zachodniego. Domy wypalone. Wieje jakiś dziwny chłód z czarnych otworów okiennych. Prowadzę wózek dziecienny. Oś pęka, rzućmy go. Biorę na ręce malutkie dziecko i tak w milczeniu dochodzimy do Dworca Zachodniego. Na peronach już tłoczno. Deszcz mży. Podstawiają pociąg. Otwarte wagony.

Zajmujemy miejsca. Ścisk okropny. Krzyk i przekleństwa kolejarzy i żandarmów niemieckich. "Fertig" — ruszamy. Jedziemy w nieznane.

Pociąg się zatrzymuje. Pruszków. Wysiadac. Ścisk, krzyk, płacz, poszukiwania rzeczy, nawoływania i nad tym wszystkim grubiański, ordynarny "loos". Wolnym krokiem ludzie, a właściwie cienie ludzkie wchodzą na tereny dawnych warsztatów kolejowych w Pruszkowie. Dokoła posterunki niemieckie.

Wchodzimy do pawilonu nr. 5. Pełno ludzi. Siadamy gdzieś w kącie na mokrej posadzce. To nasze nowe mieszkanie, nasze nowe życie. Nawoływania, wymienianie nazwisk, w ten sposób próbują się odszukać najbliżsi. Noc zimna, noc pełna udręki.

Rano. Deszcz pada. Robię "wypad" na hale, zdobywam paczkę papierosów za 60 zł. Boże, jak tanio. Jest już giełda. Można kupić za 450 zł. kilogram kielbasy. Obojętne z czego zrobiona. Można kupić chleb, prawdziwy chleb. Wszystko to naturalnie nielegalne. Duża kolejka. Ludzie się cisną. Dowiaduję się, że Czerwony Krzyż wydaje kawę. Zdobywam jakieś naczynie i przynoszę dla swoich śniadanie.

Około godziny 11-ej ogłaszają rozkaz wyjścia wszystkich na plac. Rozpoczyna się szacowanie na oko. Zdolny — niezdolny. Dzieją się rzeczy nieprawdopodobne. Rozdzielają rodziny, rozłączają małżeństwa, odłączają dzieci od matek. Płacz, szloch, pożegnania. Powoli i ja ze swoją "rodziną" do-

chodzę do tej komisji. Wzrok zbiera oceniam mnie szybko. Na lewo. Moja znajoma z dzieckiem — na prawo. Grupa na lewo to ludzie przeznaczeni na wyjazd do Rzeszy. W tej grupie spotykam znajomego, już się trzymamy razem.

Po godzinie grupę około 1000 osób, w której jestem, prowadzą do sąsiedniej hali, która jest silnie strzeżona przez straż. Tłok tu niemożliwy, pełno ludzi. Wiek od 15 do 60 lat. Bez komisji lekarskiej, bez posiłku każą przygotować się do drogi.

Na pół godziny przed wyjazdem udało mi się przedostać na teren kuchni. Tu po dwóch dniach przedostaje się z kolei do hali nr. 1 Hala nr. 1 to miejsce, o którym każdy marzy. To hala, skąd ludzie, już przesortowani wysyłani są pociągami na teren t.zw. Gubernii Generalnej. I tu tłoczno. Przeważnie ludzie zupełnie starzy, chorzy, kobiety z niemowlętami, młodszy zaopatrzeni w zwalniające karty lekarskie, no i prawdopodobnie trochę takich, jak ja. Kilka godzin straciłem na poszukiwaniu, a właściwie na usiłowaniu wypożyczenia dziecka na chwilę, bowiem przy wejściu do wagonów następowała jeszcze raz selekcja. Nie było innej możliwości uniknięcia wysłania do Rzeszy. Po nieudanej wyprawie po dziecko znalazłem samotną staruszkę, lat około 80, która z ledwością się poruszała i przy jej boku dostałem się niezatrzyma-

ny do wagonu.

Wagony otwarte. Węglarki. Na każdej po 70 — 80 osób. Deszcz leje bez przerwy. Stoimy na bocznicach od 6 wieczorem do 11 w nocy. Wszyscy zmarznięci, przemoczeni. Dzieci płaczą. Starzy już nawet nie mają siły narzekać. Nareszcie odjazd. Pod konwojem. Zimno coraz bardziej dokuca. Deszcz coraz większy. I znowu niepewność czy dotrzymają słowa.

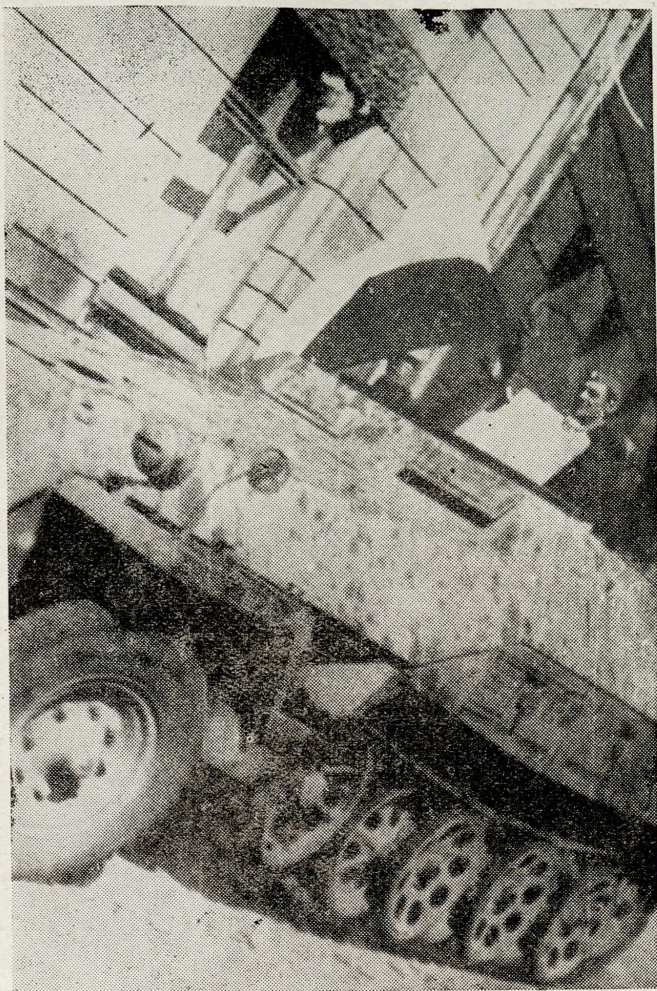
Koluszki. Ciemno. Stoimy na bocznicach. Deszcz pada bez przerwy. Piotrków. Radomsko. Rano miejscowa ludność cywilna ze łzami w oczach żegna nas z oddali. Dolatują słowa pociechy, dolatują kawałki chleba i owoce. Pociąg nieszczęśliwych sunie powoli. Jakas stacja. Obsługa Czerwonego Krzyża rozdaje kawę. Chcę pomóc. Krzyk — nie wolno. Pociąg rusza.

Stacja Rudniki. Wysiadac. Wąskie przeście. Kontrola dokumentów. Nareszcie jesteśmy wolni. Tu członkowie RGO /Główna Rada Opiekuńcza/ przyjmują uchodźców. Na polu stół: rejestracja, przydział kwatery, wozy chłopów miejscowych — to zorganizowana pomoc. Starzy, kobiety, dzieci, chorzy — wozami, zdrowi — pieszo. Na nowe kwatery. Na nowe nieznane życie.

A cóż potem? Nowa seria przeżyć i wreszcie — Londyn. Chyba nie na długo. Nie skończyła się bowiem tułaczka żołnierza polskiego i nie skończył się obowiązek pracy dla Sprawy.

STEFAN

Z wielkich i tragicznych dni Warszawy



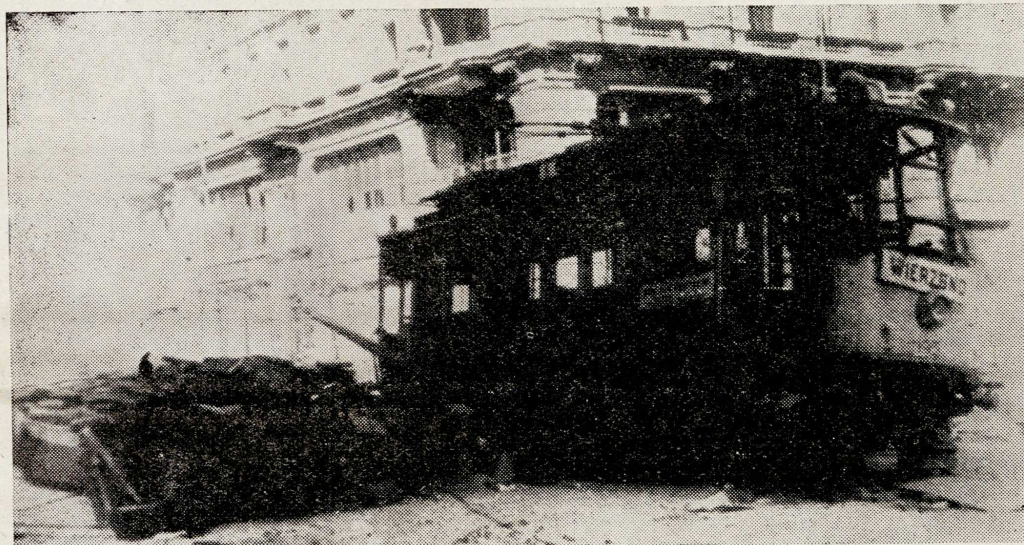
Samochód pancerny zdobyty przez powstańców



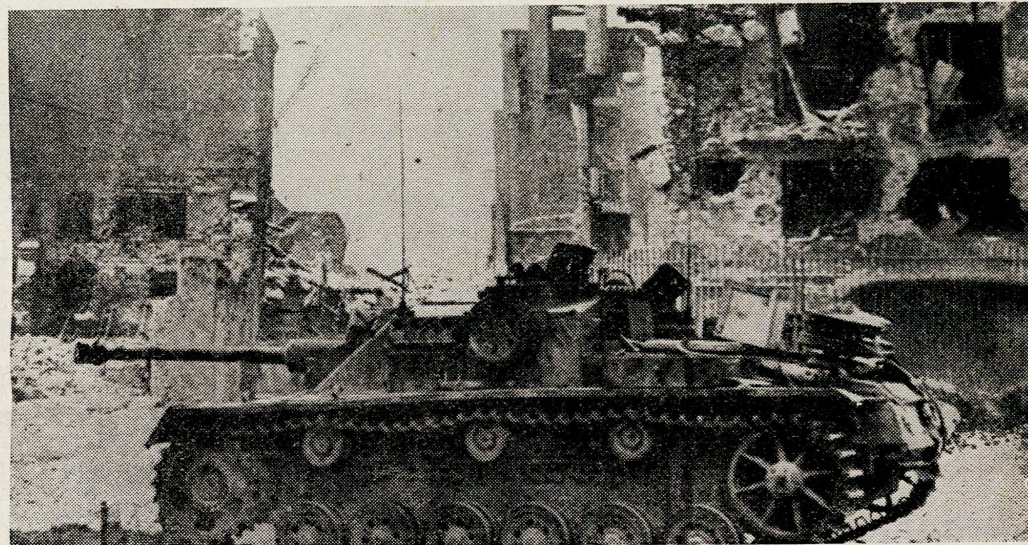
Afisz nawołujący do oszczędzania amunicji



Jeńcy zagarnięci w komendzie policji niemieckiej



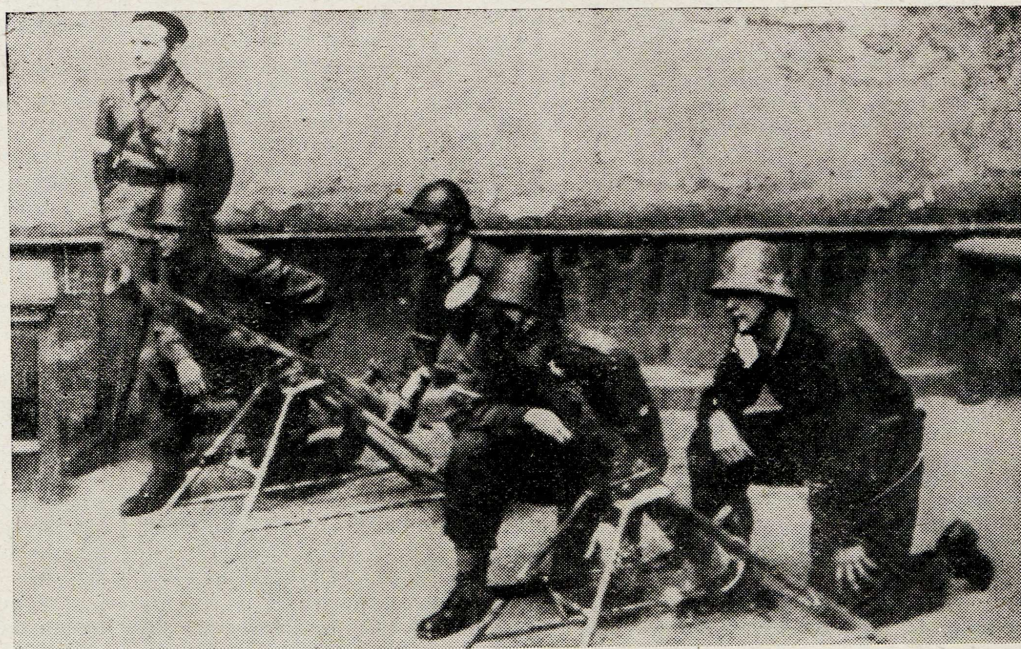
Tramwaj zamieniony na barykadę



Samoczynne działo używane przez Niemców



Karabin maszynowy obsługiwany przez robotników



Moździerze fabrykowane przez Armię Krajową



Zdobycza amunicja wędruje na stanowiska



Żołnierz Armii Krajowej otrzymuje pierwszą pomoc



rys. JANINA KONARSKA

LOTNISKO POŚRODKU ZIELENEGO MORZA

Okrażamy lotnisko. Raz. Drugi. Trzeci. Wyrabany wśród odwiecznej dżungli *runway*, wypalonych kilkanaście dróg, kilkadziesiąt porzucanych baraków — ot i lotnisko. Julek przelatuje nisko, tuż nad *runway'em*. Wąska wstążka białego betonu, po obu bokach sterzą kłody i pnie wykarczowanych drzew — i zaraz dalej o kilkadziesiąt *yardów* wznoszą się nieprzebite ściany zielonej dżungli. Tadek rozmawia z *tower'em*, który tutaj jest po prostu tylko drewnianym pomostem rozpiętym na wysokości kilkunastu *yardów* nad ziemią, pomiędzy czterema wysokimi palmami. Do pnia przybita deska, do deski przymocowana aparatura radiowa, lampa Aldis'a i rakietnica. Na pniu bliźniaczej palmy zawieszony połowy telefon — ot i *tower*.

Ale regulamin ten sam, dyscyplina niezmiennie ta sama. *Tower* może się mieścić w marmurowych ścianach, może sygnalizować nowoczesniejszymi neonami — może się mieścić na drzewie i sygnalizować Aldis'em. Ale dla nas *tower* jest zawsze *Tower'em* /przez duże T/, jest zawsze miejscem skąd otrzymujemy rozkazy, jest zawsze tą nieznaną, bezosobową wyrocznią, skąd pada rozkaz: „Go!”, wysyłający załogę w daleki lot.

I teraz Julek krąży nad tym zagubionym wśród dżungli lotniskiem, aż do chwili, gdy w *intercom* odezwie się głos Tadeka:

— „Julek, możesz lądować, *runway* numer I.”

Ta ostatnia uwaga dowodzi, że jednak tam, w *tower'ze* mają lekką manię wielkości. Lotnisko ma tylko jeden *runway* i podawanie numeru jest tylko dowodem, że siedzący w tej chwili na drzewie i kierujący ruchem oficer pamięta lepsze czasy i podaje numery *runway'ów* tak, jakby to robił na lot-

wej. Dwudziesty wiek napotyka zwierzęta i rośliny, jakich już od dawien dawna nie ma na innych polaciach globu. Tu, w niedostępnej dotąd dla człowieka dżungli, w ostępach brzońskich przez nieprawdopodobny, niewiarygodny rozwój i bujność roślinności zachował się jeszcze ten bajkowy, młody świat, gdzie orgia młodej, niepowstrzymanej niczym flory rozsada głązy, kamienie, drogi — gdzie na pniu zrąbanego drzewa wykwita w ciągu kilkunastu godzin nowy, gęsty krzew, który w ciągu kilku dni staje się znów nieprzebytą zaporą.

Każdy cal kwadratowy ziemi pokryty jest bujną zielenią, każdy cal daje przytułek i żer niezliczonym, różnorodnym owadom, które znów są żerem dla innych, większych drapieżców. A nad tym wszystkim królują te najsilniejsze, najżarłoczniejsze: krokodyl, boa, jaguar, tygrys i puma. I w ten świat bujnego, gorączkowego życia, życia, które nie zmieniło się ani na jotę od tych dni, gdy ustąpiły wody potopu — w ten świat przedhistorycznych roślin i zwierząt — wdarł się dwudziesty wiek, budując w samym sercu dżungli swoją największą zdobycz: lotnisko.

WALKA PIERWOTNOŚCI Z CYWILIZACJĄ

Zawrzała walka. Dżungla rzuciła zastępy nieprzeliczonych swych roślin, by zieloną, bujną powodzią zalały wznoszone przez człowieka drogi, *runway'e*, budynki. By pod nieprzeniknącą zasłoną zieleni znikły bez śladu wybudowane od cinki dróg i place oczyszczone całotygodniową pracą pod budowę baraków. Gdy miejsca zdobyte na dżungli zarastały bujnym krzewem w ciągu kilku dni — wiek dwudziesty zastosował gazy. Porażona gazami zieleni cofnęła się do granicy wypalanej traw, znaczącej teraz zasięg panowania człowieka w dżungli.

Ale dżungla ustąpiła tylko pozornie. Zezwoliła, by człowiek wdarł się w jej obszar — nie zrezygnowała z walki. Nie mogąc walczyć zwykłą bronią — powodując zalewającą wszystko „karę” i zielonych pnączy — dżungla zaczęła nasyłać tysiączne szeregi owadów i robactwa. Pod zalewem idących niewstrzymaną falą terminów znikły magazyny i składy. A gdy i pochód terminów został zatrzymany użyciem gazów trujących — wraz z nadejściem wiosny dżungla zaatakowała lotnisko chmurami wyległych w jej nieprzebranych ostępach moskitów i komarów. Tu już wiek dwudziesty nie mógł zastosować gazów i personel ziemny lotniska, skazany na całodzienną pracę w chmurach latających owadów zaczął gwałtownie topnieć. Ale na miejsce jednych przychodzili nowi — i walka trwała.

Na próżno każdy miesiąc przynosił nową, przemyślną plagę, którą nasyłała na lotnisko dżungla. Na próżno pojawiały się drobne mrówki, które nie ruszały na lotnisko niczego — zadawał się obgryzaniem izolacji na elektrycznych przewodach, co z kolei powodowało krótkie spiecia i defekty w sieci. Na próżno inna plaga, rodzaj koników polnych upodobał sobie zakładanie gniazd i tym samym zalepanie przewodów powietrza do szybkościomierza. Na próżno skorpiony i aruny pięły się ciępliwie na wysokie słupy, stanowiące pomosty, na których stały baraki. Na próżno maleńkie, szare żmije upodobały sobie miękkie jedwabne spadochrony, zagnieżdżając się w kabinach samolotów. Wiek dwudziesty nie ustępował z dżungli i codziennie, na przekór wszystkim mocom zielonego piekła brzmiała z serca dżungli wysoka, zwycięska nuta lotniczych motorów.

„ZATŁUSZCZONE MAŁPY” CZYLI NIEZNANI BOHATEROWIE

Urwała się pieśń motorów „Liberatora”. George wyrzucił na ziemię torbę nawigacyjną, termos i teczkę zawierającą najkonieczniejsze rzeczy do spędzenia nocy na lotnisku. Następnie sam poszedł śladami swych gratów.

Julek już rozmawiał z brygadziastą, objaśniając mu, co należy zrobić przy maszynie, ile dolać benzyny i oliwy. Tadek coś przypomniał o swym nieustannym zmartwieniu, o lewym, nieładującym generatorze. George patrzył po twarzach mechaników — i myślał, że właśnie oni, ci ludzie nigdy nie wspominani w żadnych komunikatach i rozkazach, te zwykłe „zatłuszczone małpy” — jak nazywali ich w potocznej mowie — są prawdziwymi bohaterami wojny w dżungli. Załogi przychodzą, klną — i odchodzą. Jeśli mają szczęście — wracają. Jeśli mają pecha — giną. Ale dla załóg wszystko rozgrywa się w godzinach, czasem w dniach. A dla tych biednych, zapomnianych przez Boga, „zatłuszczonych małp” wojna w dżungli jest ciągiem długich, monotonicznych dni straszliwej pracy w najstraszliwszych warunkach, w jakich człowiek kiedykolwiek pracował. Dnie będą miały, załogi będą przychodziły i odchodziły, będą się zmieniały maszyny i piloci — a dla nich wciąż, bezustannie, jak w kieracie: uzupełnienie benzyny, uzupełnienie smarów, sprawdzenie hydrauliki, kontrola luzów, oczyszczenie świec. Potem samolot odleci. W godzinę po nim przyjdzie inny — i znów: uzupełnienie benzyny, uzupełnienie smarów, dolać oliwy do hydraulicznych pomp, sprawdzić generatory, skontrolować wysuwanie się klap.

Praca, nieustanna, wieczna praca. Brygady zawsze niekompletne, bo przecież zawsze ktoś ma właśnie atak malarii i koziółkuje w malinie gorączkowych snów. Praca w żarkich, kasających promieniach podrobnikówowego nieba lub /dla odmiany/ w potokach straszliwej, tropikalnej ulewy, gdy zdaje się, że to nie krople wody napieniają powietrze, lecz że to lejąca z nieba woda jest przetykana kroplami powietrza. Praca w ustawicznym napięciu nerwowym, praca w ustawicznej czujności. Ostrożnie wchodzi do samolotu, bo może tam już weszły żmije. Ostrożnie odsuń torbę z narzędziami, może tam zagnieżdżył się już jadowity pajak. Nie wsuwać ręki do tej skrzynki, nie sprawdzisz, czy nie ma w niej skorpionów. Wieczna uwaga, nieustająca ani na chwilę czujność. Wieczny szum w uszach od zżywanego przez miesiące chininy, wieczne uczucie ociążałości i brudu od spływającego po całym ciele potu. Nieustanny, drażniący zapach dżungli, zapach gnijących liści, zgnitej wody i przesiąkniętej wilgocią i potem odzieży. Ale „zatłuszczone małpy” zasługują raczej na nazwę „zatłuszczonych diabłów” — tak są zawzięte i nieustępliwe. Dopiero tam, w głębi dżungli, na ostatnich placówkach cywilizacji wychodzą na jaw te /tak głęboko ukryte na codzień/ najwyższe, pionierskie właściwości rasy anglo-saskiej: upór, zawziętość, zupełny brak wyobraźni i wiara w krótkie, proste słowo: DUTY /obowiązek/.

ROZMOWA O JEDZENIU I POCENIU SIĘ

Jeep wiezie załogę na *briefing*, potem na posiłek. Jedzenie jest przesiąknięte zapachem dżungli i nikt z załogi nie może przemóc wstrętu i jeść, chociaż od ostatniego posiłku upłynęło dziesięć godzin, z tego osiem w powietrzu. Tylko kawa i sucharki mają powodzenie. Opiekujący się załogą oficer z uśmiechem patrzy, jak żół-

to-licy *boy* zabiera prawie pełne talerze, by przynieść następne danie, które za chwilę, równie niechętnie zabiera:

— „To tylko pierwszy dzień taki — wszystkie załogi zachowują się tak samo. Jutro już się przyzwyczaię do tego zapachu. A jeśli pozostaniecie tu dłużej, to nawet polubicie to życie w... Na innych lotniskach jest znacznie gorzej”.

Ale nikt z nas nie jest ciekaw tych innych lotnisk, na których jest jeszcze gorzej — czy w ogóle może być gorzej, niż na lotnisku w...? George zastanawia się nad tym pytaniem i namyśla się w jaką ubrać je formę, by nie urazić gościnnego gospodarza. Wreszcie dobrał odpowiednie słowa. Odpowiedź dziwi go i zastanawia:

— „Tu się jeszcze przynajmniej człowiek może porządnie wypocić” — chwali swe lotnisko gospodarz.

— „Właśnie to ustawiczne spływanie potem, to ciągłe uczucie, że się wprost lepię od potu, że nawet kreśląc *flight-plan* muszę trzymać rękę wysoko nad papierem, by go nie przemoczyć i nie pobrudzić — uważam, po zapachu, za najgorszą cechę Waszego lotniska” — oponuje George.

— „Wszyscy są tego zdania — nawet ja sam tak myślałem — dopóki się nie pozna lotnisk Al Salala i Al Had. Kto tam był — zaczyna uważać możliwość pocenia się prawie za przyjemność”.

George podniósł wysoko brwi zamieniając twarz w znak zapytania.

— „W Al Had” — wyjaśniał uprzejmie gospodarz — „temperatura wynosi w ciągu dnia 170 stopni. W nocy spada do 145 stopni. W takiej temperaturze w pustynnym, pozbawionym wilgoci powietrzu — pot ulatnia się szybko, jeszcze nim zdąży osiąść na skórze. Ani jedna kropelka potu nie zwilży skóry spalonej straszliwym słońcem pustyni. Pot paruje i skóra pozbawiona jego dobroczynnej ochrony zaczyna pękać i pokrywać się wrzodami. Piekło. Każdego, kto śmie narzekać na pocenie się i wilgoć w dżungli — posłałbym na kilka dni do Al Had, by się nauczył cenić dobrodziejstwo i przyjemność uczciwego skapania się we własnym pocie. Zresztą Al Had jeszcze nie jest najgorszym miejscem na ziemi. Są gorsze”.

Ale George już nie był ciekaw tych kątów świata, które są jeszcze gorzej od położonego w sercu dżungli lotniska... Dla niego wystarczało najzupełniej ono — z temperaturą 140 stopni, z zapachem gnijącej roślinności, z przesyconym zgnilą wilgocią powietrzem.

MUZYKA NOCY TROPICALNEJ

Baraki mieszkalne zbudowane były na wysokich palach i podłoga ich wznosiła się kilkanaście stóp nad ziemią. Wchodziło się po stromych drabinkach. Zarówno pale, jak i drabinki posiadały blaszane kryzy, które wraz z kleistym pokostem miały gądom i płazom utrudniać dostęp do baraków. Brzegi blaszanych kryzy były ostre jak noże, kleisty pokost był przesycony zżarciem kwasem, okna były zabezpieczone gęstą moskitierą. To wszystko zdawało się zapewniać stuprocentową ochronę przed człogajacymi się i latającymi mieszkańcami dżungli i George kładąc się spać czuł się bezpieczny za ochroną moskitiery, pali, pokostu i blaszanych kryzy.

— „W Akrze powinni też coś podobnego zbudować” — twierdził Julek — „przynajmniej nie musiałby wyrzucać skorpionów spod poduszki”.

— „Tak” — zgadzał się Tadek — „to widać od razu, że tu jednak dobrze dbają o przelatujące załogi. Czuję, że wyspię się, jak król”.

Ale prorocтво Tadeka nie miało się tej nocy spełnić. Jeszcze nie

* Por. poprzednie części cyklu w nr. 38, 43, 48, 51-52 „Polski Walczący” z ub.r.

OCEAN—PUSTYNIA—DŻUNGLA

Część piąta: Dżungla*

skończył ostatnich, tych najmilszych, palonych już w łóżku papierosów, gdy poderwał ich i rzucił ku bezzysownym, osłoniętym moskitierą oknom czyjś rozpaczliwy, wzywający pomocy krzyk. Tylko *captain* Horn leżał spokojnie w swym łóżku:

— „Nigdy nie słyszeliście małpy wyjca?” — zapytał.

Załoga powróciła do łóżek. Za oknami rozległ się śmiech. Wysooka nuta pół-obłąkanego, porażającego słuch, wariackiego śmiechu. Chichot niósł się kędys od ciemnej ściany dżungli, dzwonił nad całym lotniskiem, odbijał się od przeciwległej ściany dżungli i powracał wzmożony echem, napieniając uszy załogi tym nieznośnym, nie do wytrzymania dla nerwów białego człowieka, wariackim śmiechem. Spojrzenia skierowały się ku kapitanowi Horn'owi, który tu już był parę razy.

— „Hiena. To jeszcze nie. Dopiero jak usłyszycie wycie dżunglowych psów, będziecie sobie mogli powiedzieć, że słyszeliście najbardziej obłąkanego i grającego na nerwach dźwięki. Hiena to szczeniaki w porównaniu z tym, co potrafią dzikie psy” — objaśniał Horn.

Załodze wystarczały w zupełności małpy i hieny, oraz ciągły nieustanny szum — ta „gra” dżungli, której górującym motywem jest metaliczne brzęczenie sztywnych skrzydełek wielkich, rdzawo-zielonych żuków. Ale dzień spędzony w powietrzu — już dziewiąty z rzędu dzień od chwili opuszczenia kanadyjskiej bazy — i spowodowane lotem zmęczenie są silniejsze, niż „gra” dżungli i załoga zapada w niespokojny, gorączkowy sen. Ten gorączkowy, nie dający odpoczynku i odświeżenia sen, który jest udziałem załóg, przeniesionych w ciągu kilku dni z kanadyjskiej zimy w tropikalną dżunglę.

George spi. Spi tym niezdrowym, gorączkowym snem. Ciało całe sypka nieustannie potem, gdyż temperatura nie opada tu nigdy poniżej 115 stopni. Przez sen kontynuuje swój lot. W uszach grają mu jeszcze potężne motory. „Liberator” — tak śni — opuścił właśnie zawiane śniegami pagórkowate pastwiska Nowej Fundlandii i wychodzi w ocean. Wśród szaro-stalowych wód oceanu skrzę się w słabych odbłaskach północnego, bladego słońca oślepiająco białe gładziny gór lodowych. Do kabiny wciskają się wszystkimi szparami białe, okrutne palce mrozu. George czuje ich zimny uścisk, który nim ujęte są już jego stopy i dłonie. Jeśli zaraz nie zacznie rozierać rąk — śni — za chwilę nie będzie już miał władzy w sztywniejących palcach. I złane tropikalnym potem, duszące się w temperaturze 115 stopni ciało George'a, wstrząsa się dreszczem strachu przed groźącym mu — we śnie — zamrożeniem.

JASZCZURKA MÓWI „DZIEŃ DOBRY”

Tak mija gorąca, duszna, zatruta wilgotnym, zgnilym oddechem dżungli, noc tropikalna. Gdy o pierwszym brzasku George budzi się ze snu, drewniane ściany baraku wibrują jak napięta skóra bębna. To startujące *Flying Fortresses* /Latające Fortece/ hukami potężnych motorów wprawiają w drżenie barak stojący na słupkach.

George sięga po papierosa, klnąc *Yankesów* i ich ryczące motory. Sięga w stronę swej podręcznej walizki, na której pozostawił z wieczora ubranie, czapkę i papierosy leżące w czapce. Sięga po papierosy — i nieruchomieje. Wyciągnęła ku czapce ręka zawisa w powietrzu. W czapce siedzi kilkucalowy smok-jaszczurka. Jakąś niezbadaną drogą wpadła do czapki i nie może się z niej wydobyć. Teraz przerażona wyciągnęła w jej kierunku ręką — stara się nastraszyć przeciwnika. Napienia powietrzem luźną skórę na karku, nad uszami i na podgardlu. Wygląda rzeczwiście na najgroźniejszego smoka. W ciągu kilkunastu sekund powiększyła kilkakrotnie swą objętość i teraz wydyła jak pęcherz, z nastrożonym grzbieciem, wygląda jak bajkowy smok.

Jaszczurka boi się ręki George'a, który z kolei boi się jaszczurki. Któż wie, czy ten okaz jaszczurki należy do niewinnych, czy do jadowitych. W dżungli nigdy nie wiadomo — a każdą pomyłkę można opłacić, jeśli nie śmiercią, to długą, i bolesną chorobą skórną pokrywającą całe ciało ropiejącymi wrzodami. George bierze więc papierosy z czapki Julka, a swego wężnia pozostawia do decyzji kapitana Horn'a. Horn uważnie ogląda, wciąż niesamowicie nadętego, wężnia:

— „To jest, zasadniczo niewinne zwierzątko. Gryzie tylko wówczas, gdy zostanie napadnięte. Rany goją się dość szybko, ale, co jest bardzo ciekawe, odnawiają się natychmiast po powrocie w zimniejszą stronę. Objawy bardzo podobne do świerzbów. Ale jadowita nie jest”.

— „Dziękuję za takie niewinne stworzonko! Tadek, wal ją butem, gdy ją wytrąsne na ziemię!” — decyduje George.

SPOTKANIE Z ARAUNA I MRÓWKAMI

Ale jaszczurce-smokowi nie była sądzona śmierć. Tadek unosi w górę but, przechyla go, by nim łatwiej uderzyć — i z krzykiem puszcza but na ziemię. Z buta wysnuwa się mała, szara kulka i szybko toczy się w stronę łóżka na którym siedzi Horn. Gdy kulka dotacza się do jego nóg, Horn unosi spokojnie nogę i miażdży silnym uderzeniem:

— „Masz szczęście, chłopie — mówi — to arauka. Gdybyś wsadził nogę do buta, poleżałbyś parę tygodni w szpitalu, może i dłużej”.

— „A to co za cholera!” — słyszemy oburzony głos Julka, rzucającego ze wstrętem koszulę, którą właśnie zamierzał wciągnąć na grzbiet. Julek z wieczora zostawił w kieszonce koszulę kawalek czekolady i teraz cała koszuła jest wprost pokryta rojem drobniutkich mrówek. Są wszędzie. Wytrąsanie koszuły pomaga bardzo niewiele, odpadają dziesiątki mrówek, ale setki i tysiące trzymają się mocno.

— „Zanurz w wodzie” — doradza doświadczony Horn.

Jeszcze kilka podobnych doświadczeń i nerwy załogi zaczynają grać. Wszyscy mają dość dżungli, jej zapachu, jej wilgotnego, duszącego wyziewem zgnilizny powietrza, jej temperatury — a nade wszystko jej drobnych, pelzających i czolągających się, wszędybolskich mieszkańców. To nie tygrysy, pumy i lamparty czynią z dżungli piekło. Tygrys rzuca się na człowieka tylko w Hollywood'skiej dżungli. W prawdziwej, ucieka, nim go człowiek zdąży zauważyć. To te drobne, pelzające i czolągające się stworzy, to te niezliczone owady i płazy czynią z dżungli piekło, w którym biały człowiek, jeśli jest ostrożny, może przeżyć dzień, ale prawie nigdy nie przeżyje nocy, jeśli go nie chronią baraki na palach, siatki w oknach i rozlany wokół łóżka żrący, śmierdzący kwas.

OSTATNIE CHWILE PRZED ODLOTEM

George ostrożnie przegląda zakamarki i zakątki swej kabiny. Któż wie, jakiemu znów gadowi mogła przyjść ochota zagnieździć się w torbie nawigacyjnej, lub obrać za mieszkanie wyłożone miękką gumą pudło sekstansu. Ale, na szczęście, oprócz wielkich, złocistych żuków, kabina jest wolna od mieszkańców dżungli. Tylko ten okropny, duszący zapach gnijącej roślinności przeniknął już cały samolot, wcisnął się do każdego zakątka.

George siedzi na swym nawigatorskim krzeselku i niecierpliwie oczekuje chwili zapuszczenia motorów. Tym razem nie czyni żadnych przygotowań przed lotem. Nawet nie wykreśla na mapie trasy lotu. Woli zrobić to dopiero w powietrzu, gdy strzałka termometru, wskazującego temperaturę w jego kabinie opuści nareszcie tę cyfrę 130 stopni i zejdzie w dół, ku temperaturze bardziej odpowiadającej gustowi białego człowieka. Ocie-

kające potem ręce trzyma przed sobą, nie dotykając nimi ani swych kochanych, czystych map, ani swych przyrządów precyzyjnych. Splywający z rąk pot, kapie wielkimi kroplami na podłogę kabiny i wąską strugą sypka ku zatrzaśniętym już drzwiom.

Mechanik-brygadzysta i pilot wymieniają ostatnie, obrzędowe, sygnały. Silnik numer... *all clear!* Olbrzymie łopaty śmigła ruszyły się wolno, niechętnie. Jeden obrót, drugi, trzeci. Śmigła błękitnego dymu i łopaty zawirowały szybciej. Już zwały się w jeden, świetlisty, promienny dysk. Do uszu doszedł wysoki, dzwiniący ton grającego motoru. W kabinie powiało świeżym, zimnym prądem. Z kolei zaskakują silniki numer...

START

Przed samolotem znów pojawia się *jeep* z żółtą tabliczką: *Follow me!* Julek posłusznie kołuje na początek *runway'u*. Tadek rozmawia z wieżą. Wreszcie poprzez łomot i trzask pracujących motorów słychać jego słowa:

— „Możesz startować — Julek”.

— „Startuję” — odpowiada.

Ryk motorów wzmacnia się. „Liberator” rusza wolno, statecznie. Toczą się po gładzi *runway'u* 62 tysiące funtów. W rozgrzanym, rzadkim powietrzu start jest przyspieszony i długi. Już są w połowie *runway'u*, a szybkość narasta tak wolno, że nawet nie ma co marzyć o podważeniu maszyny. Koła wciąż jeszcze toczą się po *runway'u* i ugięte opony wskazują wyraźnie, że samolot jeszcze całym swym ciężarem spoczywa na kołach, że skrzydła nie wzięły jeszcze na siebie ani cząstki tych gniojących 62 tysięcy funtów. Mijają trzy ćwierci *runway'u* — koła wciąż jeszcze toczą się ciężko po ziemi.

Na miejscu Julka — myśli George — już bym wyłaczył motory i łagodnie rozłożył grata, nie czekając, aż grata rozłoży nas. Ale Julek jest uparty i uporem swoim przezwycięża upór 62 tysięcy funtów. Mijają trzy ćwierci *runway'u* — koła wciąż jeszcze toczą się ciężko po ziemi. Na miejscu Julka — myśli George — już bym wyłaczył motory i łagodnie rozłożył grata, nie czekając, aż grata rozłoży nas. Ale Julek jest uparty i uporem swoim przezwycięża upór 62 tysięcy funtów. Mijają trzy ćwierci *runway'u* — koła wciąż jeszcze toczą się ciężko po ziemi. Na miejscu Julka — myśli George — już bym wyłaczył motory i łagodnie rozłożył grata, nie czekając, aż grata rozłoży nas. Ale Julek jest uparty i uporem swoim przezwycięża upór 62 tysięcy funtów. Mijają trzy ćwierci *runway'u* — koła wciąż jeszcze toczą się ciężko po ziemi.

W *intercom* słychać spokojny głos Julka:

— „Bardzo się bałeś?”

— „Nie bardzo” — odpowiada George — „wierzyłem, że potrafisz dać sobie radę a w ostateczności, że potrafisz położyć grata nie rozbijając załogi”.

— „Tobie dobrze — masz kogoś, w kogo wierzysz” — zazdrości George'owi *skipper* — „ja bo muszę polegać tylko na sobie samym. Start miły nie był — na ten temat to szkoda słów”.

— „Spojrzyj w dół — widoczek też niepokojący” — odpowiada George.

DŻUNGLA WIDZIANA Z GÓRY

„Liberator” leci na wysokości 800 stóp. W dole rozciąga się zielona, puszysta dżungla. Odwieczne drzewa, których nie tknęła nigdy ręka człowieka, rozrosły się tak licznie, że w wyświegu o dostępie do życiodajnych promieni słońca zdają się walczyć ze sobą, spychając się w ciemny, mroczny gąszcz. Z wysokości 800 stóp widać wyraźnie, jak splecione konary potężnych drzew zdają się formować ciągły, nieprzerwany dach zieleni, nieprzebitą zasłonę, pod którą kryje się jakieś życie tajemnicze, nieznanne, zasłonięte przed oczyma ludzkimi. Gdy czasem promienie słońca przebijają się przez tę zieloną zasłonę, zaczynają tam — w dole, pod gałęziami odwiecznych drzew

— grać wesołym, migotliwym odbiciem swych promieni. To woda! Puszcza wzrosła na nieprzebytych bagnach, na niezbadanych przez człowieka moczarach. Mapa nosi zresztą uczciwy nadruk: *„unsurveyed jungle”* /niezbadana dżungla/.

Samolot powoli, lecz stale nabiera wysokości. Drapie się uporczywie na nakazaną wysokość lotu to jest 6000 stóp. W miarę jak nabierając wysokości oddala się od zielonego dachu, dżungla traci grozę, staje się znów tylko terenem, terenem, nad którym przelatuje nasz samolot na swej dalekiej trasie, wynoszącej 16 tysięcy mil.

Mijają godziny. Równy, statecznie dudni potężne motory, jednostajna, usypiająca melodia grą i łomocą śmigła. Wskazówki licznych przyrządów i zegarów oscylują przy właściwych cyfrach. Strzałka wysokościomierza zamarała naprzeciw cyfry 6000 stóp, cienka igielka szybkościomierza ustawiła się naprzeciw 175 mil, a poważna, biała tarcza busoli tańczy swój wolny, hieratyczny taniec, uważając pilnie by iluminowana cyfra — 90 — znajdowała się naprzeciw czerwonego wskaźnika.

A tam, w dole, nie zmienia się nic. Zielona zasłona odwiecznych drzew przesłania przed oczyma przelatującą załogę, to gorączkowe, bujne, okrutne i krwawe życie, które tam, pod zasłoną tropikalnej roślinności, przetrwało w tej samej, ani o włos niezmienionej formie od tych dni, gdy ustąpiły wody potopu i spod ustępujących wód — w gorących, życiodajnych promieniach podrównikowego słońca narodziła się dżungla.

W CZASIE I POZA CZASEM

Tu, w górze, na wysokości 6000 stóp jest wiek dwudziesty. Motory. Radio-stacja. Sekstans. Żyroskopowa busola. Szybkostrzelne karabiny i inne cuda nowoczesnej techniki radiowej... Tam, w dole, oddzielony tylko nikłą odległością 6000 stóp, którą samolot przebyć może w niecałych 20 sekundach, jest jeszcze świat, którego istnienie nie może być liczone w czasie. Tam w dole jest jeszcze ten młody, przedhistoryczny świat, świat, w którym czas nie istnieje, świat który poprzecza nawet samą myśl o narodzinach czasu.

Olbrzymy dżungli wyrastają z mrocznych otchłani ziemi, poprzez długie epoki walczą o dostęp do słońca, trwają wiekami ich potężne konary, a gdy wreszcie ulegną, zmęczone siłą jakiegoś kataklizmu, lub powalane szalejącymi nad dżunglą cyklonami — jeszcze nawet wówczas nie mogą upaść na ziemię, gdyż gąszcz opłatających je powojów, lian i paproci jest dość silny, by utrzymać nieruchomo nawet najpotężniejsze drzewo. I tak stoją nieruchome — poza wszelkim pojęciem o czasie upływającym wokół nich i zmieniającym oblicze ziemi. Tylko rudawy kolor gnijącego próchna wskazuje przelatującemu nad dżunglą lotnikowi te miejsca, gdzie stoją martwe, nie mogące upaść olbrzymy. Zanim wreszcie całe zamieniają się w próchno i rozsypią — już nowe pokolenia zajmują ich miejsce i w walce o dostęp do słońca wystrzelały poprzez ich spróchniałe konary młodymi, rwącymi się do słońca gałęziami.

Dżungla jest wieczna, a właściwie dżungla istnieje poza czasem. Drzewo, które jest wiecznie zielone, może być zarówno symbolem życia, jak i śmierci. Nasze zachodnie umysły oswojone są z wieczną wędrówką, z nieustającą nigdy przemianą: Kwiaty — Owoc — Nasienie. Wczyste koło życia, niezajające początku ni końca. W wędrujących liściach jesieni czujemy nie tylko powiew śmierci — czujemy również zapowiedź nowego życia, które tu przyjdzie z następną wiosną. Wędrujący kwiat kryje w sobie nasienie, które z nową wiosną zakwitnie nowym życiem. Ale co kryje w sobie wiecznie zielona, nigdy nie zmieniająca się, od zarania świata ta sama, królewska w swej przepysznej zieleni, dżungla? Cóż kryje się poza tym symbolem niezmennego trwania — życie czy śmierć?

NIEZWALCZONE PRZECIWIENSTWO

Na skraju dżungli — oddzielone dżunglą od świata — przykuwały prastare klasztory buddyjskich mnichów. Mnichy patrzyli w tajemniczą, nieprzenikloną dżunglę i snują swe rojenia o najwyższej Istocie, obdarzając ją cechami, które zaobserwowali u królewskich zwierząt dżungli. Jeśli człowiek Zachodu, przybył do nich morzami — słucha pilnie ich słów i dziwi się ich głębi. Ale jeśli odwiedzający samotnych mnichów i słuchający ich nauki przybył do nich powietrzem, poprzez niezmierzone ostępy dżungli — odgadnie od razu, że cała ich nauka, a przede wszystkim ta, tak uderzająca człowieka Zachodu, negacja czasu, wzięła swój początek z obcowania z dżunglą, z obcowania z formą przyrody, która istnieje poza czasem.

Ponad odwieczną, nieprzenikloną zasłoną zielonych drzew leci nasz „Liberator” równym, statecznym lotem, nawijając na piasty swych potężnych śmigieł przestrzeń dzielącą nas od celu. Równy, miarowo dudni głuchy śpiew motorów, jednostajnie łomocą i szumią śmigła. Strzałki czujnych przyrządów oscylują przed oczyma pilota — wierna i niezawodna igła żyro-kompassu wskazuje kierunek nawigatorowi. W dole, o 6000 stóp poniżej, tam, za zasłoną zielonego kobierca drzew kipi i pieni się podstępne, krwawe, oparte na siłę kłów i pazurów życie dżungli. I George'owi siedzącemu w zacisznej, doskonale rozwiązanej technicznie kabinie, zdaje się, że ten ich lot nad dżunglą wyrasta ponad miarę zwykłych, codziennych lotów. Że jest jakby symbolem odwiecznej, nieustępliwiej walki pomiędzy Ładem i Postępem Zachodu, a chaosem i negacją, które niesie ze sobą Wschód. George pochyla się nad dryftomierzem. W doskonałych pryzmatach precyzyjnego przyrządu widzi zbliżone, przepływające pod nim potężne konary prastarych olbrzymów dżungli. Mechanicznie odczytuje dryft i podaje Julkowi poprawkę kursu. Jednocześnie myśli:

— „Tak. Tu nie może być kompromisu. Albo dokładna nawigacja, albo śmierć. Albo „Liberator”, albo dżungla. Dżungla może nawet nie żyć wobec „Liberator’a” złych zamiarów, ale w zetknięciu się z dżunglą — „Liberator” musi zginąć. Człowiek Zachodu nie może istnieć w dżungli. Jeśli jest bardzo ostrożny, potrafi przeżyć dzień, ale nigdy nie przeżyje nocy”.

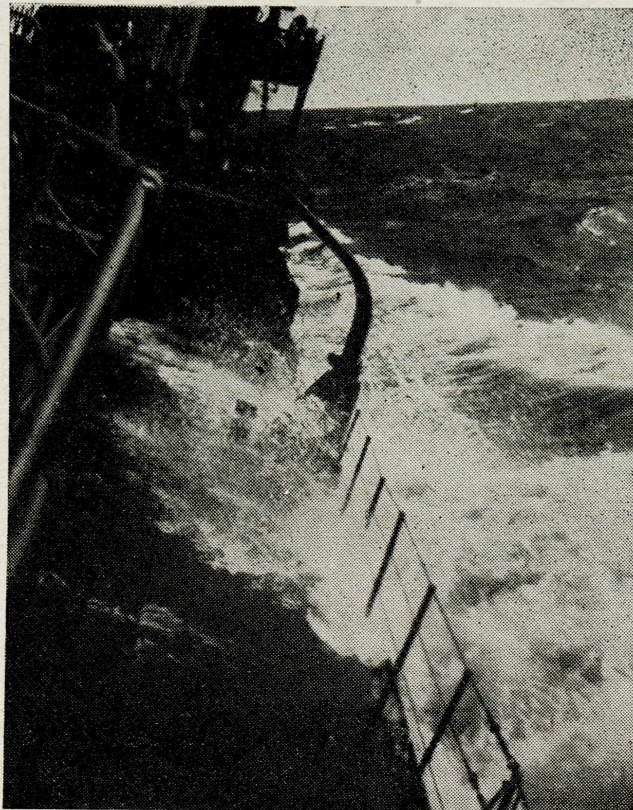
Ponad niezmierzonymi obszarami dżungli, ponad tajemniczym, niezbadanym, ciągnącym się na setki mil, zielonym kobiercem przedhistorycznych drzew niesie się spokojnym, równym lotem najpiękniejszy twór człowieka, najdumniejszy ucieleśnienie skrzydlatej ludzkiej myśli: samolot. Miarowa, równa pieśń motorów rozlega się nad obszarami, które dotąd budziło tylko echo śmiechu hieny i wycie wychodzącego na łowy tygrysa. Wiek dwudziesty wyruszył na spotkanie polodowcowej epoki.

Ręka George'a zsunęła się z astro-kompassu. Pochylił się nad stolikiem nawigacyjnym, na którym rozpięta była karta ich przelotu. Równy wykreślona linia trasy przecinała biały obszar z napisem *„unsurveyed jungle”*. Poprzedzone, krótkie kreski, tak zwane „linie pozycyjne”, otrzymane z namiarów na słońce, przecinały trasę i pozwalały dokładnie określać szybkość samolotu względem ziemi. Szybkość ta wynosiła 195 mil na godzinę i najdalej za 40 minut „Liberator” miał pozostawić dżunglę poza sobą i wejść nad bardziej „ludzki” obszar. Należało sprawdzić raz jeszcze, czy nie zmieniły się wiatry i czy dryft jest wciąż ten sam, to jest „2 stopnie port”. Patrząc na przesuwaną się w dole dżunglę, George raz jeszcze mimowolnie powtórzył głośno swe myśli:

— „Tu nie może być kompromisu! Zachód — to ład i życie! Wschód — to dżungla i śmierć!”

BOLESŁAW POMIAN

Postój w Ostendzie



W sztormie

PATROL NA NIEOBECNE ŚCIGACZE

Rzuca strasznie, fala krótka, wiatr pewnie 7, 8, szkwały tną deszczem — krótko mówiąc pogoda psia. Szwendamy się na patrolu przeciwko ścigaczom, ale wiemy, że to nie ma najmniejszego sensu, bo w taką pogodę ścigaczowi nie sposób wyjść na morze. Nas tu na małej szybkości nieraz tak potrzęsie, że aż błąd doktor wylatuje z kabiny, biegnie do mesy, aby zapytać pierwszego z brzegu:

— „Jak długo to potrwa?”
— „Jak długo C.-in-C. będzie się namyslał, aby skasować patrol?” — mówi dowódca do oficera wachtowego.

Porucznik chce być lojalny i w stosunku do C.-in-C. i w stosunku do dowódcy i zamiast odpowiedzi zaczyna zwracać uwagę sternikowi.

— „Daj mu pan spokój” — wtrąca się dowódca — „w taką pogodę nie można żądać cudów, rzuca, jak diabli”. Jednocześnie robi unik, bo znowu szkwał chlusnął deszczem w oczy.

KOLACJA, KTÓRA MA SIĘ SKOŃCZYĆ W OSTENDZIE

Patrol dłużył się, jak odprawa oficerska. Jedynie dzwonek z radiostacji, sygnalizujący, że trzeba wyciągnąć depezę, wprowadzał chwilowe ożywienie. A może to sygnał odwołujący patrol? Ale gdzie tam. Przyszli rozkład konwojów, później patroli, później odwołanie własnych ścigaczy z morza, później stan pogody. Wyczytaliśmy, że tu gdzie się znajdujemy jest sztorm, jakbyśmy tego nie czuli. A odwołania, jak nie ma, tak nie ma.

O pół do ósmej, jak zwykle, stółowy zameldował dowódcy:

— „Panie kapitanie, kolacja na stole”.

Dowódca poczłapał na dół do siebie, zrzucił przemoknięty płaszcz, wytarł twarz ręcznikiem i zaczął się grzać przed elektrycznym piecykiem. Fala biła o burtę, a wiatr roznosił bryzgi, aż po nadbudówce, w której mieściła się kabina dowódcy. Za każdym uderzeniem fali, za każdą komendą do steru, jakiś wewnętrzny instynkt, znany chyba tylko dowódcą okrętów i kapitanom statków — podrywał go, aby iść na pomost. Kolację tykał, prawie nie żując. „Stąd te komplikacje żołądkowe” — myślał.

Raptownie zadzwieczał dzwonek, przywołujący go do tuby głosowej, połączonej z pomostem. Doskoczył, jak oparzony.

— „Panie kapitanie, patrol odwołany, mamy iść do Ostendy”.

— „Zaraz przychodzę” — odkrzyknął i szybko kończył herbatę.

„Do Ostendy, to świetnie, nareszcie po tylu latach na kontynencie. Tam jest pewnie dużo owoców” — myślał.

NOC, KTÓRA MIAŁA BYĆ SPOKOJNA

Pokrzepiony i rozgrzany kolacją rażno wybiegł na pomost. Oficer nawigacyjny miał już przygo-

towane mapy, kanały i kursy. Tylko iść. Niestety w taką pogodę nie można było iść szybko i trzeba było wlec się sztormowymi dziesięcioma węzłami, ale za to w perspektywie noc w koi, a jutro Ostenda.

Dopiero około północy rzucono kotwicę. Na redzie stało kilka statków, dwa traulery, jeden kontrtorpedowiec. Dowódca wybrał militarną część redy i zakotwiczył trochę w przodzie przed kontrtorpedowcem. Pogoda się nieco wyjaśniła, to znaczy wiatr rozchłubił się jeszcze bardziej, ale niebo wypogodziło się i nawet wzeszedł księżyc.

Zarządzono odbój, dla maszyn pięciominutowe pogotowie.

Kiedy dowódca zszedł z pomostu do kabiny — obok koi zastanej do spania dymiła na stoliku szklanka gorącego kakao. Pokusa była silna. Ale oparł się jej zwycięsko. — „Polożę się w ubraniu, bo nie wiadomo, co zajdzie w nocy”. — Zwrócił się do stołowego: —

— „4 szekle, 3 szekle, 2 szekle, 1 szekiel, kotwica puściła”.

Chcę się śmiać na to „kotwica puściła” — przecież wcale nie trzymała.

— „Kotwica nad wodą, czysta” — przychodzi meldunek z dziobu. — „Obie pół naprzód”.

Mijamy znowu kontrtorpedowiec, który nam sygnalizuje:

— „Are you all right?”

— „Dziękuję, all right” — odpowiadamy.

PO KONTRTORPEDOWCU TRAUER

Idziemy dalej. Fala większa, niż wczoraj na patrolu. I to ma być kotwiczowisko? Ale coż robić?

Wykręcamy się pod wiatr i falę. — „Obie stop, kotwicę rzuć, obie wolno wstecz”. Zgrzyt, łańcuch bije po dziobie, leci w dół. Zastępca melduje:

— „1 szekiel, okręt idzie wolno naprzód, 2 szekle, okręt stoi, 3 szekle okręt idzie wolno wstecz”.

— „Luzować cały łańcuch” — pada z pomostu, za chwilę: — „obie stop”. I teraz oczekiwanie.

tysfakcją w głosie:

— „Trauler też dryfuje”.

No to pysznie. Tylko, gdzie tu wykręcić, z tyłu trauler, z boku kontrtorpedowiec, z drugiej strony statki handlowe i wrak. Najlepiej jeszcze z prądem. Dryfujemy z traulerem, ale my dryfujemy szybciej i odległość od traulera zmniejsza się. Trzeba iść naprzód.

— „Obie pół naprzód”, okręt jakby się zatrzymał. Naraz telefon z maszynowni, zgłasza się sygnalista:

— „Panie kapitanie, melduję: Oficer mechanik prosi dowódcę”.

— „Co tam?”

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licho, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — odpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: — „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.



„Ale kiwa...”

z maszynowni: — „Zdaje się, że rufowa kotwica chwyciła”.

— „Lewa stop”. Istotnie zaczynamy się wykręcać rufą do wiatru. Cóż za świetny kawał, zakotwiczyliśmy na cudzej kotwicy, zapłatanej we własny wał śrubowy. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy ryczeć ze złości. Księżyc wyraźnie drwił z ponurej miny kapitańskiej.

Ekipa kotwiczna dostała rum, maszyniści zabrali się do skraplacz. Był zapchany śledziami. Przeszliśmy widać przez jakąś ławicę; wybrano dwa pełne wiadra.

— „CUD” Z ŁAŃCUCHEM, MGŁA I ŚLEDZIE

Dowódca ciągle sterczał na pomost. Rankiem trochę ściśnięto, ale fala była wciąż duża i trwał problem, jak się wyplatać z cudzego łańcucha. Posłano sygnał na ład z żądaniem przysłania nurka.

— „Ale nim się nurek zjawił, kotwica puściła. Nie tyle kotwica, ile łańcuch. Odwinął się sam z wału. Nie do uwierzenia, ale odwinął się sam. Kotwica widać dobrze zachwyciła, a prąd i wiatr mocno tarmosił okrętem, tak że powoli, powoli łańcuch się odwinął. Było trochę emocji i strachu, czy skrzydła śruby nie pogięte, ale przy ruszaniu prawą maszyną nie było żadnych wibracji.

— „No jakości się wykaraskali” — odsapnął dowódca i tym razem szczęśliwie rzucił dwie kotwice.

— „Ale już mu nie w głowie było wyjście na ląd w Ostendzie. Zadowolili się oglądaniem przez lornetkę promenady i zabitych deskami hotelowych okien.

Po obiedzie przyszedł sygnał, że jeśli uważamy, iż pogoda jest absolutnie nieodpowiednia dla ścigaczy, to możemy zostać na kotwicy w natychmiastowym pogotowiu z tym, że o ile pogoda się poprawi, to zaraz wyjść na patrol.

Drugi artylerzysta, dawny „ścigaczowicz”, wezwany na arbitra, orzekł, że pogoda absolutnie się nie nadaje i zostaliśmy przez noc na redzie. Gdzieś nad ranem wiatr ściął zupełnie, a potem i fala zaczęła się zmniejszać. Widoczność jednak malała i zupełnie nieoczekiwanie przyszła mgła.

— „Może do wieczora przejdzie” — pocieszał dowódcę nawigator — „trochę wiatru jeszcze jest”.

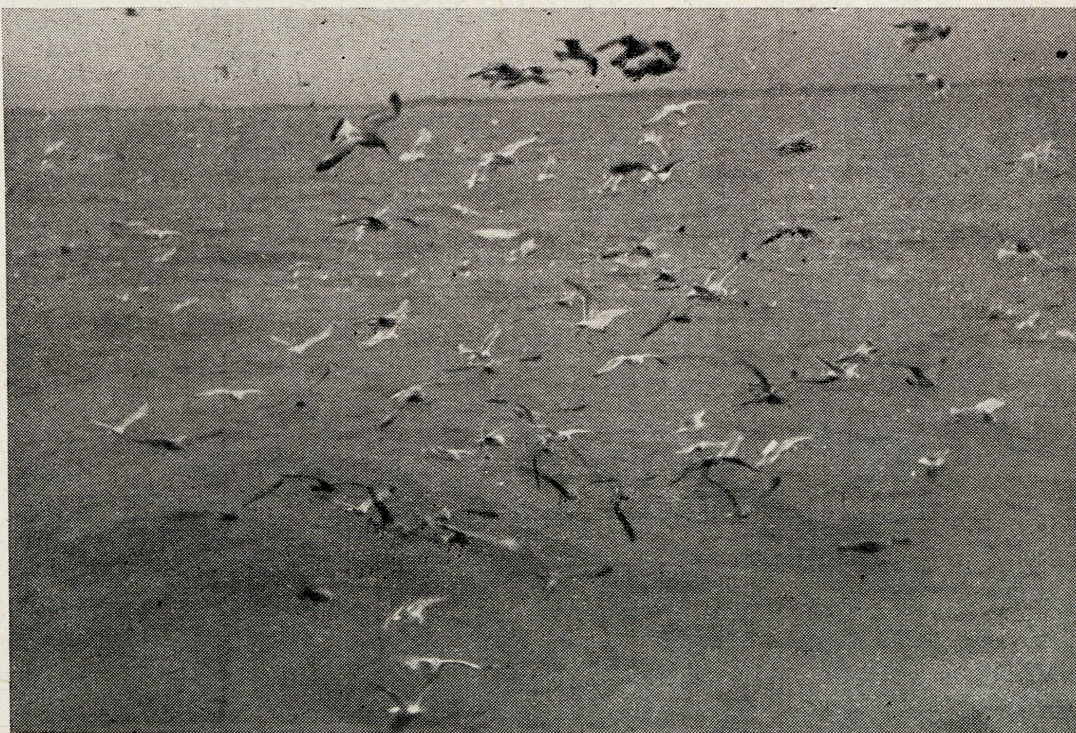
— „Ale mgła nie przeszła. I trzeba było prawie poomacku wychodzić z redy, obejść dwa wraki, iść łamanym kanałem, wyminąć zakotwiczony konwój i jeszcze jeden wrak. Jak się obyło bez wypadku/odstukać/, tego naprawdę nikt nie wie. Bo gdy wyszliśmy na czyste wody istniały trzy hipotezy: — „Gdzie jesteście?” Wybraliśmy, jak zwykle w takich razach pozycję środkową i jakoś tam trafiliśmy na patrol...

Nazajutrz dowódca zauważył w nieogolonej od trzech dni brodzie — kilka siwych włosów.

— „Zachciało ci się Ostendy” — mruknął.

Jedyna pociecha: na obiad były świeże śledzie.

LEOPOLD MILANOWSKI



U wejścia do portu

— „Sprzątnijcie to i dajcie mi tylko koc”.

Zdjął buty, okrył nogi kocem i wyciągnął się na koi. Około 3-ej nad ranem, ujrzał nad sobą przerażoną twarz wachtowego, który tarmosił go za ramię i łamliwym głosem meldował:

— „Panie kapitanie dryfujemy”.

Kapitan zerwał się, krzyknął za znikającym wachtowym:

— „Natychmiastowe pogotowie dla maszyn”.

Wskoczył w buty, po drodze złapał lornetkę i czapkę i już był na pomost.

WYMIJAMY KONTRTORPEDOWIEC

Tam oficer dyżurny usiłował nawiązać łączność telefoniczną z maszynownią. Sygnalista z obojętną miną patrzył na księżyc. — „Ten się psiakrew niczym nie przejmuje” — zdążył pomyśleć dowódca i za-

Złapie kotwica, czy nie?

— „6 szekli” — wrzeszczą z dziobu — „kotwica nie trzyma”.

Widzimy to na pomostie sami.

— „Może chwyci na dryfie” — mówi dowódca, jakby szukając porparcia, czy może współczucia.

— „Dryfujemy” — wrzeszczą z dziobu.

— „Zbliżyliśmy się do traulera” — melduje obojętnym głosem zimny drań-sygnalista. — „Woła nas”.

Trauler morsuje: — „Zdaje się dryfujecie”.

Dowódca syczącym głosem każe odpowiedzieć: — „You are very clever”*** — po chwili zmienia jednak na: — „You are perfectly right”*** — Nie zmienia to jednak sytuacji...

Flegmatyk melduje z lekką sa-

* Czy wszystko w porządku?

** Jesteście bardzo mądrzy.

*** Macie całkowitą słuszność.

Na dziobie traulera zawrzało, desperackie machania rąk, błyski laterek i wreszcie sygnał: — „Rzucony”.

PO WALE SKRAPLACZ

Trauler zwolniony z kotwicy gazem ruszył wstecz. — „Mechanika na pomost” — zarządził dowódca. Zjawia się „chief” ocierając pot ręcznikiem i pierwszy zaczyna:

— „Panie kapitanie, proszę o odstawienie i lewej maszyny. Skraplacz zapchany”.

— „Panie, coś się pan z wentylatora zerwał — nie widzi pan, co się tu dzieje?”

— „Tak jest, ale mnie się skraplacz grzeje”.

— „Nie panu nie poradzę, postaram się szybko zakotwiczyć, musi pan kręcić”.

Pracując tylko lewą maszyną idziemy wolno naprzód, rufę coś nam szarpie, szarpie. Telefon

Dyplom pilota dostajesz, bracie, już w Torturton,* ale dopiero Wredna! zrobi z ciebie myśliwca. Inną co. do tego usłyszysz opinie po przejściu do dywizjonu, powiedzą ci tam, że twoje szkolenie dopiero się ZACZNIE, ale, nominalnie Wredna! uczy cię latać operacyjnie, jako że jest to O.T.U. — *Operational Training Unit*.

Naturalnie, lata musiałbyś upłynąć już od czasu, jak zacząłeś szkolenie z myślą o lataniu w tej wojnie. Jeżeli decydujesz się dopiero teraz, to prawdopodobnie będziesz latał na raketach w następnej wojnie, międzyplanetarnej. Bo wyszkolenie myśliwca — to nie tylko sprawa pieniędzy, twoich cierpień moralnych, reumatyzmu instruktora — to również i kwestia długiego czasu.

W skrócie edukacja myśliwca wygląda tak: A.C.T.C., I.T.W., E.F.T.S., S.F.T.S., O.T.U. *Simple, isn't it?*** — Cierpliwości, zaraz się wszystko odcyfruje.

Punktem wyjściowym jest oczywiście — Blackpool /Blackpool również będzie punktem przyszłościowym/. Tutaj przechodzisz przez pierwszą próbę charakteru: nieróbstwo, pijaństwo, rozpusta. Jeżeli uda ci się uciec cało przed tą trójgłową hydrą — Komisja Selekcyjna będzie już tylko prostą formalnością.

Czekasz dni i tygodnie na przydział do A.C.T.C. — *Air Crews Training Course* — rodzaj wstępnej klasy na ziemi dla tych, co chcą szaleć po niebie. Co dzień mówią ci, że *posting**** będzie już na pewno jutro, aż po paru miesiącach przychodzi jutro, pakują cię wraz z kilkudziesięcioma kolegami do pociągu i wiozą do — Faknal. Jest to jednocześnie szkoła pilotażu elementarnego /E.F.T.S./: widok starszych kolegów, którzy właśnie zaczynają latać, ma cię odstraszyć od zamiaru zostania pilotem.

Na razie jesteś boleśnie zraniony rannym wstawianiem i życiem w baraku po blackpoolskim, bądź co bądź — pensjonacie. Potem się przyzwyczajasz i coraz bardziej przejmujesz się wykładami, a zwłaszcza brzęczykiem. Jeżeli nie byłeś nigdy harcerzem, alfabet Morse'a wydaje ci się nierozwiązalną zagadką. Powiadasz: mowy nie ma, żebym kiedykolwiek osiągnął tempo piętnaście, a poza tym — jak ja mam odróżnić *l* od *f* i *c* od *z*? — Po miesiącu odbierasz lekko tempo czterdzieści i poganiaasz instruktora, żeby nadawał sześćdziesiąt.

Już w A.C.T.C. zaczynają cię interesować kraksy — lotników temat nr. 1. Koledzy z kursu pilotażu na miejscowym lotnisku robią, co mogą, żeby ci dostarczyć materiału do dyskusji, rozmyślań i snów.

Po paru miesiącach A.C.T.C. sądzisz, że jesteś ekspertem w rzeczach z teorii latania. Jeżeli twój dowódca sądzi, że umiesz choć pięć procent tego, co sam mniemasz, że umiesz — dostajesz promocję do następnej klasy pilotażu, ciągle teoretycznej, czyli do I.T.W. — *Initial Training Wing*.

To nie żarty. To już jest szkoła w porównaniu z freblówką w A.C.T.C. Kujesz dniami i wieczorami, głowa puchnie od wzorów matematycznych, reguły fizyki miesza się z *King's Regulation***** zdobywasz rozległy zasób wiadomości, z których większość nie będzie ci nigdy potrzebna; z wyjątkiem — do egzaminu.

Tutaj spotykasz się z kolegami, którzy właśnie ukończyli pilotaż elementarny i przyjechali na urlop, specjalnie po to, żeby ci opowiedzieć o trudnościach i niebezpieczeństwach latania. Któż może dorównać ich wyczynom i bohaterstwu!! Z dobrego serca, jak przyjaciele, doradzają ci zrezygnować z pilotażu. — „Nawet nie wyłazujesz się — powiadają — po co narażać się na wstyd i stratę czasu?” — „Tylko geniusz może skończyć kurs” — opiniuje jeden z licznych geniuszów. — „Wyrzucają z kursu co drugiego” — twierdzi jeden z tych drugich.

Teraz, bracie, masz drugą próbę blackpoolskiej próbie charakteru: próbę odporności i silnej woli. Jeżeli wytrzymasz nerwowo wszystko, co słyszysz od faknałskich bohaterów, a egzaminy zdasz O.K. — nie już nie stoi na drodze do rozpoczęcia prawdziwego latania: jedziesz z powrotem do Faknal, tym razem do E.F.T.S. — *Elementary Flying Training School*.

W kuchni myśliwskiej

„Tiger Moth” jest, jak wiadomo, najłatwiejszym i najbezpieczniejszym na świecie samolotem, więc pilotaż nie sprawi ci trudności. /... „W Ameryce małpę nauczyli latać”... i t.d./. Uważaj tylko, żeby nie narażać się instruktorowi przypuszczeniem, że on mniej wie o lataniu operacyjnym, niż ci, co latają w operacji. On wprowadzi cię pięciu lat lata na „Tiger Moth”ach, ale za to przed wojną latał na „Potezie”, więc i myślistwo i bombardowanie ma w małym palcu lewej nogi.

Niedaleko Faknal leży Torturton, wyższa szkoła pilotażu. W Torturton zaczynasz specjalizować się na myśliwca — na „Mastrach”, lub na bombowcach — na dwusilnikowych „Oxfordach”. Wybór głównie od ciebie zależy, ale wybrać trudno, bo jeszcze przed ukończeniem „Tiger Moth’a” spotykasz się z kolegami z Torturton, którzy informują cię mniej więcej tak:

Ci z „Mastra”: że „Master” jest maszyną w najwyższym stopniu niebezpieczną; nie wychodzi z korkociągu; w akrobacji skrzydła odlatają; po starcie często się pali; w nocy sam bierze kurs do Newark — na cmentarz.

Ci z „Oxfordów”: że dwusilnikowa maszyna jest dla ciebie za trudna; z nawigacją bombowca nie dasz sobie rady; „Oxford” nie wybaczają błędów pilotażu i tylko najwyższej klasy piloci mogą na nim latać.

Wielu z tych, co przypisują sobie najwyższą klasę pilotażu, rezygnuje więc z „Mastra”, jako że właśnie „Oxford” wydaje im się samolotem na ich miarę. Ty jednak, który czujesz zaufanie do samego siebie, choć za wysoko się nie cenisz, a nocami śnisz o myśliwskim lataniu — nie zrażasz się plotkami o „Mastrze”-latającej

leś niedozwolony niski lot, pikowanie i niskie akrobacje.

Teraz z reguły następuje okres „długo, długo nie”. Bo dostać się od razu z Torturton do Wredna! — z S.F.T.S. do O.T.U., trafia się bardzo, bardzo niewiele. Normalnie, idziesz „ciągać rekawy”, gdzieś do Szkocji, gdzie o tej porze roku wieczna noc panuje. To jeszcze jedna próba charakteru, próba cierpliwości i wytrwałości. Kilka razy dziennie startujesz na jakimś, rozlatującym się gracie i wypuściwszy rekaw, do którego strzela myśliwiec lub strzelec z „Wellingtona”, merdasz nim tam i z powrotem, tam i z powrotem, po prostej, równo, spokojnie, powolutku. Bez akrobacji, bez gwałtownych skrętów — *no fun, no nothing!**

I nie sądz, broń Boże, że w głupkami w powietrzu przyspieszysz swoje latanie operacyjne. Tak sądził Bodzio i próbował ciągać rekaw po ziemi zamiast po niebie, przed strzelcami, dla których miał być celem, chował się za drzewa, a wreszcie próbował na „Ansonie” zabić dowódcę stacji. Sądził, że z taką ikłą szybko pójdzie do O.T.U. *Well***, na razie poszedł do Blackpoolu i tam ma szansę przeżycia wojny.

Tymczasem cisi i łagodnego serca wkońcu przecież do Wredna! się dostaną. Któregoś wieczoru wysiadasz z pociągu na maleńkiej stacyjce oświetlonej jedną lampą naftową; tam czeka na ciebie i na twój bagaż mała lorka, t.zw. śmieciarka, z uśmiechniętą drajwerką. — „Dokąd najpierw?” — pyta dziewczę.

Z początku myślisz, że ona ci proponuje wstąpić do *pub'u**** na rozgrzewkę, ale ona tylko pyta, czy chcesz jechać do messy, do dowództwa, czy do swego baraku. Bo twój barak jest o milę od messy,

„Mastrze”, „Spitfire” jest objawieniem niezmiernych rozkoszy myśliwskiego latania. Od pierwszego lotu na zawsze JA pokochasz „Spitfire” jest *SHE!**/.

Nie może być inaczej, musisz ją pokochać. Przypatrz jej się najpierw na ziemi, kiedy stoi grzecznie i cicho, na smukłych, skromnie ściągniętych gołeniasz /nie bezwstydnie rozstawionych w „szpagat”, jak u „Mastra”/, naciesz się widokiem prześlicznych krzywizn płatów i ogona, pogłaszcz włosek między kadłubem a statecznikiem pionowym, wyczuć ręką, jak cienkie i ostre są koniuszki skrzydeł, posłuchaj, jak na stuknięcie palcem śmigło zadzwoni srebrzyście i głęboko.

Potem wejdź do kabiny; przyjemnie jest wchodzić do samolotu, nie drapiąc się po szczeblach, ukrytych stopniach i przycinających palce sprężynowych zapadkach: po prostu jeden krok na skrzydło, drugi do kabiny i już jesteś w środku.

Rozglądasz się po wnętrzu: co tu tego, co tu tego! — instrumenty, zegary, skale, wyłączniki, lampki, klapki, guziki, pompki, manetki, dźwignie, spusty, zatrzaśki. Robisz systematyczny przegląd, „od lewej do prawej”, i znajdujesz wiele rzeczy, już dobrze ci znanych, tylko w innych miejscach. Aha, dźwignia podwozia, nie z lewej, jak w „Mastrze”, tylko z prawej /jeszcze przez dobre kilka tygodni będziesz na próżno macał po lewej stronie kabiny po każdym starcie/. Dźwignia klap — ależ to nie „dźwignia”, to jęczyzek z przodu u góry po lewej, Bogu dzięki — nie będzie się przez pomyłkę chował podwozia zamiast klap po wylądowaniu.

Teraz chcesz zaraz lecieć, ale, kochany, przedtem musisz podpisać cyrograf, że znasz instalację

między mocą, którą wyzwoliłeś drobnym ruchem ręki, a niepozorną masą całej maszyny razem z tobą samym. Czujesz się porwany i bezbronny: to nie ty prowadzisz maszynę, to ona cię unosi, sama odrywa się od ziemi i drze w niebo. Wbrow twoim wysiłkiem poskromienia jej. Chcesz zrobić zakręt na wysokości tysiąca stóp i widzisz, że masz już trzy tysiące; ogładasz się w stronę lotniska i znajdujesz je trzy razy dalej z tyłu, niż przypuszczałeś.

Powoli przychodzisz do siebie, jesteś na bezpiecznej wysokości ośmiu tysięcy stóp, rozejrzałeś się po okolicy i poświecasz się poznaniu swej maszyny, zaczynasz ją nieśmiało ujeżdżać. Wpadasz w zachwyt nad lekkością i posłuszeństwem sterów — ona nie za ręką, ale za myślą pilota chodzi /dlatego nie myśl o głupstwach i nie bądź beznamiętny, kiedy latasz na „Spitfire’ze”/. Pikujesz i z rosnącym wzruszeniem śledzisz na zegarze rosnącą szybkość — do takich cyfr jeszcze nie dochodziła wskazówka szybkościomierza na znanych ci samolotach. Wyciągasz z piki i czujesz, jak sparaliżowane nogi nie zdolne są dźwignąć kolan o cal, jak skóra i mięśnie twarzy zwisły ku dołowi, a z nosa kapie obficie w maskę tlenową. Ostrożnie, bracie, ostrożnie z *g**, bo zamroczysz!

Z bojaźnią w sercu wkładasz do beczki i nagle śmiesz się ze szczęścia i podziwu, bo dla tej cudownej maszyny lecieć beczkami, czy po prostej — to mała różnica. Wyciągasz w pętlę, a mądra maszyna nie pozwala ci ściągnąć więcej, niż wolno — czujesz opór drażka i tylko martwisz się, czy w tak łagodnej pętli nie wytracisz szybkości: gdzie tam, przeszedłeś przez plecy i jeszcze ci blisko dwieście *m/ph**** zostało.

Upojony rozkoszą tego pierwszego z nią sam-na-sam powracasz na lotnisko /jeżeli je możesz tak zaraz odnaleźć/. Wchodzisz w runę, wytracasz szybkość przed otwarcie podwozia, pamiętasz, że masz mieć sto czterdzieści, ale już przy stu sześćdziesięciu zaczynasz czuć się nieswojo: dziwna cisza robi się po tamtym locie na wysokich szybkościach, czy aby szybkościomierz działa? Wypuszczasz podwozie, wypuszczasz kłapy i nagle czujesz, że cała potęga i groza tysiąca sześciuset koni znikła, samolot robi się lekki i nośny, jak gazela, i gdybyś nie bał się obrazić swej królowej, porównałbyś ją teraz do — „Tiger-Moth’a”.

Żeby utrzymać właściwą szybkość, musisz zadrzeć nos nad horyzont, masz wciąż o dwadzieścia mil za dużo i wciąż ci się zdaje, że lecisz za wolno, niebezpiecznie za wolno. Podprowadzasz do lądowania i teraz wiesz, żeś miał za dużą szybkość, bo maszyna niesie się i niesie. No, klapa, Bogu dzięki, a raczej nie klapa, tylko spłynęła lekko na *runway*, potoczyła się gładko do skrzyżowania i sama łagodnie zakreśliła, gdzie trzeba.

Zakołowałeś na *dispersal*****, wyłączyłeś, wygramoliłeś się z szatańskiej kombinacji pasów, spadochronu, *dinghy* i *Mae-Westki*, stajesz na chwilę przy skrzydle i patrzysz na swojego „Spitfire’a” z podziwem, dumą, wdzięcznością i umiłowaniem.

I kiedy już raz ją pokochałeś, to ta miłość zostanie ci w sercu na zawsze. Mogą być samoloty szybsze, łatwiejsze, wygodniejsze, lepsze, ale „Spitfire” jest i będzie najpiękniejszy.

„Thunderbolt”? — z silnikiem, jak stodoła! „Mustang”? — ten rozkraczony wielbłąd z garbem na brzuchu! Albo „Typhoon”? — toż to po prostu „Hurricane” w ciąży! Nie, tylko „Spitfire” ze swą dziewiczą linią, ze swą smukłością, z harmonią zaokrąglenia, z poezją proporcji, z muzyką skrzydeł w locie — pozostanie w myśliwskim lataniu niepowtarzalnym uosobieniem Piękna.

Pokochałeś ją, jako świeżo upieczony myśliwiec, nie zapomnisz jej, kiedy po operacjach odejdziesz z dywizjonu; będziesz tęsknił, aż kiedyś, kiedy uda ci się do niej powrócić i po rozłace ją odzyskasz — pójdiesz witać się z nią skrycie, żeby nikt nie widział, jak jesteś wzruszony. Obejmiesz ją kochającym spojrzeniem, położysz rękę pieszczotliwie na gładkim, wdzięcznym skrzydle i szepniesz cicho: „Moja, moja jedyna!”

GUSTAW NIERAD



trumnie, i wkrótce na tymże samolocie z najwyższą łatwością macisz powietrze.

Wiecej jednak, niż w powietrzu, męczysz się w Torturton na ziemi. Bo tam, uważasz, sztab profesorów wyszkolenia na ziemi organizuje dla ciebie — uniwersytet latania. Latasz dziennie godzinę, dwie, ale za to wykładów masz cztery, pięć, nie licząc „pozabiurówek”, nauki własnej, „dobrowolnej” i za karę. Egzaminy są też, najpierw „połówkowe”, a dopiero potem na dyplom. I choćbyś latał, jak Orliński, a „plottingu”* nie zdasz — sromotnie z pilotażu wyrzucen będziesz. /Plotting nie tobie jest potrzebny, tylko GRUPIE — słowo magiczne, przyczyna wystarczająca i cel najwyższy/.

Jak to św. Mikołaj zgrabnie kiedyś ujął, życie w Torturton — to:

Wykłady i egzaminy,
Link** — co dzień cztery godziny,
Repetycje i poprawki,
Morse — na wzrok i na słuchawki,
Astrografy i plottingi,
Nauka własna i drill w *dinghy****
A, że wszystko zbyt spokojnie,
W piątki urządzi się wojnę.
Potem, co czasu zostanie,
Poświeca się na latanie.

Aż wreszcie, pewnego dnia przed południem, twój kurs zbiera się na ostatnią zbiórkę w Torturton, na rekawie każdy ma świeższe „sztrajpsy” sierżantkie, dowódca przykreca wam tańszego gatunku gapę na wypięte piersi i wygłasza okolicznościowe przemówienie, płynnie i pewnym głosem, bo wygłaszał je już do czterdziestu trzech poprzednich kursów. Dostajesz urlop siedmiodniowy, pierwszą pensję sierżanta i wyrwasz do miejscowości, nad którą, w czasie kursu, wykonywa-

o dwie mile od dowództwa, o trzy mile od lotniska. Umyć się możesz już o pół mili od swego pokoju. A sam pokój mieści się w tekturowym baraku na stromym pagórku: czy mróz, czy błoto — zawsze się parę razy obsuniesz na czworakach, zanim osiągniesz szczyt.

Dostajesz rower, który ginie ci następnego dnia. Ktoś *pinched it***** Bierzesz następny, stojący obok i tak, po pewnym czasie, wracasz do swojego. /Tu mi się przypomina mój przyjaciel, Zbyszek, instruktor z Torturton, który rower w ogóle nie posiada, ale zapytany przez nieświadomych: — „Czy możesz mi pożyczyć rower?” — zawsze odpowiada życzliwie: — „Ależ naturalnie — drugi od wejścia do lewej”/.

Wredna! nie jest całkowicie polską stacją, jak Faknal lub Torturton, ale mamy tu polskich instruktorów i polskich dowódców. Wszyscy oni przychodzą tu prosto z dywizjonu i najczęściej też do dywizjonu wracają po kilku miesiącach „odpoczynku”. Odpocznęnek w cudzoziemiu, bo z tego, co mówią, wynika, że z odpoczynku w dywizjonie tu przyszli i na odpocznęnek w dywizjonie chcą jak najszybciej odejść. Wredna! męczy ich bardzo: jazda na rowerze, brakiem centrów rozrywkowych w okolicy, ograniczonym zapasem alkoholu w messie, a przede wszystkim — brakiem latania. Bo instruktor w O.T.U. nie lata dużo, a kiedy lata, to spluwając z obrzydzeniem: *dual****** z uczniem na „Mastrze”, lub prowadzenie dwóch uczniów w szyku na „Spitfire’ach”. Brrr!

Ty za to latasz dużo, szybko i wysoko. Po krowiastym

* Bez zabawy, bez niczego.
** Dobrze.
*** Szynk.
**** Zwęził go.
***** Lot we dwójkę /z instruktorem/.

* Wszystkie nazwy miejscowości w tym felietonie są zmyślone.
** Proste — co?
*** Przyszedł.
**** Regulamin królewski.

* Nanoszenie na mapę trasy lotu.
** Przyrząd naśladujący wnętrze kabiny samolotu, w którym ćwiczy się lot na instrumenty.
*** Ćwiczenia z łódka ratowniczą.

* Ona.
** Czynności zasadnicze, związane z obsługą silnika w locie.
*** Książka zadań.
**** Formularz podpisywany przez pilota przed startem.
***** Kamizelka ratunkowa.
***** Pas startowy.

* Przyspieszenie ziemskie.
** Mila na godzinę.
*** Punkt rozproszenia /barak pilotów na lotnisku/.

W PRZEDNIU OSTATNIEJ OFENSYWY

Bezprzykładna masakra, kilkanaście tysięcy jeńców dzienne, istna orgia zniszczenia z powietrza — oto raz jeszcze obraz sytuacji na froncie zachodnim. Bitwa w trójkącie Ren-Mozela-Saara dobiega końca. Stała się ona niemalże nowym wydaniem bitwy pod Falaise, co prawda tylko, jeśli chodzi o olbrzymie straty niemieckie; dla Sojuszników była od tamtej znacznie łatwiejsza.

Teraz, gdy jeszcze jedna armia niemiecka ulega zniszczeniu, gdy wojska sojusznicze stoją nad Renem na całej jego długości od granicy szwajcarskiej do Holandii i szybko rozszerzają swoje przedmoście na wschodnim brzegu, gdy wreszcie lotnictwo sojusznicze zadaje Niemcom miazdzące ciosy i paraliżuje całkowicie transport na tyłach frontu — początek końcowej ofensywy na zachodzie wydaje się sprawą dni. Być może rozpocznie się ona, zanim te słowa ukażą się w druku.

Chwila wydaje się odpowiednia, by nieco obszerniej zastanowić się nad widokami na przyszłość, tym bardziej, że każdy dzień dostarcza nowego, ciekawego materiału dla oceny planów niemieckich i stanowiska społeczeństwa niemieckiego. Jednocześnie coraz więcej jest wskazówek co do tego, na jakie trudności natrafiają Sojusznicy na terenie Rzeszy. Doniesienia korespondentów z terenów okupowanych na zachodzie /wschód, gdzie działają wojska sowieckie, jest zaryglowany na cztery spusty dla bezstronnych obserwatorów /rzucają sporo światła na to, co czeka Sojuszników w miarę postępów w głąb Niemiec.

Na łamach „Daily Herald” ukazała się w tych dniach korespondencja, omawiająca bierność społeczeństwa niemieckiego na terenach okupowanych na zachodzie. Autor, podobnie jak inni korespondenci, podkreśla, że obawy przed jakąkolwiek partyzantką ze strony Niemców okazały się płonne. Nie ma żadnych prób tego rodzaju, sabotaże nie zdarzają się, Niemcy są pokorni i posłuszni. Autor słusznie jednak przestrzega przed wyciąganiem stąd zbyt daleko idących wniosków, podkreślając, że położenie na tych terenach jest zupełnie specjalne z powodu braku mężczyzn w wieku wojskowym. Ta część ludności, która pozostała, to starcy, kobiety i dzieci. Nigdzie na świecie nie jest to element nadający się do akcji partyzanckiej; a już z pewnością nie w Niemczech, gdzie akcja podziemna nie odpowiada u- sposobieniu narodowemu.

Pod tym względem sytuacja jest więc odmienna, niż w krajach, które były okupowane przez Niemców: tam przeważnie duża część młodych mężczyzn pozostała na miejscu i mogła wziąć udział w akcji podziemnej. Toteż słusznie wydaje się stwierdzenie, że niebezpieczeństwo stanie się realne, gdy Niemcy zostaną ostatecznie rozgromione i gdy byli członkowie SS, spadochroniarze, i w ogóle cała młodzież zacznie działać małymi oddziałami. Na nich bowiem Hitler

zawsze może liczyć — choćby go już nie było wśród żyjących.

Niewątpliwie szeregi tych kilkunastu roczników niemieckich zostały mocno przerzedzone. Rzeź młodzieży niemieckiej jest bodaj większa, niż sobie świat wyobraża. Niemniej wciąż jeszcze będzie dość tych fanatyków hitlerowskich, by siał niepokój i zamieszanie. Charakterystyczny dla tej fanatycznej zaciekłości był świeży fakt ucieczki 80 jeńców niemieckich z obozu w Anglii. Nawet beznadziejne położenie Niemiec i bliska ostateczna klęska, nie wpłynęły na ich umysłowość od lat urabianą przez narodowy socjalizm.

Skoro zaś mowa o umysłowości, to warto jeszcze zwrócić uwagę na podnoszony przez wielu korespondentów fakt, że tereny zajęte okazały się pustynią nie tylko w znaczeniu materialnym — wszystko leży w gruzach od bomb — ale również ideologicznym. Niemcy odrzekają się tam od narodowego socjalizmu, ale nie wyobrażają sobie, by go można było czymś zastąpić. We Włoszech, gdzie wpływ faszyzmu był raczej powierzchowny, natychmiast po wejściu wojsk sojuszniczych zaroilo się od antyfaszystowskich partii politycznych i Włosi oddali się polityce z namietnością. Niemcy tylko czekają na — rozkazy. Umieją słuchać i nie więcej.

ORGANIZACJA BEZŁADU

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy z pewnością przygotowuje przyszłą akcję partyzancką na terenach okupowanych. Ale nie jest to jedyny sposób, którym zamierza ono utrudnić życie Sojusznikom.

Nie ulega wątpliwości, że przewódcy niemieccy gotowi są pociągnąć za sobą w otchłań katastrofy nie tylko całe Niemcy, ale także całą Europę. Korespondent „Daily Telegraph” przytoczył następującą opinię, wypowiedzianą przez Niemców: „Jeśli jesteśmy skazani na klęskę, to niechże przynajmniej nasi wrogowie znajdą się wobec Europy, która be-

dzie zniszczona do gruntu, jak nigdy przedtem w historii. Ich zwycięstwo niech będzie daremne, a ich triumf — szderstwem”.

Dlatego Niemcy celowo przedłużają opór, choć wiedzą, że wynikiem będzie jeszcze większe zniszczenie reszty Rzeszy. Dlatego zapewne powodują masowe wędrówki milionów ludzi po kraju. Chcą w ten sposób w momencie okupacji sojuszniczej stworzyć stan bezładu, z którym Sojusznicy nie będą sobie w stanie dać rady; nie ma przy tym znaczenia to, że jeszcze paręset tysięcy Niemców zginie. Zato, jak spodziewa się Hitler, w tych masach wędrujących z miejsca na miejsce łatwiej będzie się ukryć winowajcom wojennym. Co więcej, Sojusznicy nie potrafią tych milionów wyżywić i dojdzie do rozruchów głodowych. Szerzyć się będą epidemie i Sojusznicy będą się obawiali, że ich żołnierze zarażą się od Niemców. Jednym słowem hasło Hitlera brzmi: im gorzej, tym lepiej.

Zapewne nie bez związku z tym pozostaje kampania propagandowa o okrucieństwach rosyjskich, o której pisaliśmy w ostatnim numerze. Jednym z powodów, dla których okrucieństwom tym nadaje się taki rozgłos, wydaje się, poza chęcią wzmożenia woli walki, również skłonienie milionów Niemców do wędrówki na zachód. Członek amerykańskiej Izby Reprezentantów Gore, który ostatnio bawił w Niemczech z ramienia AMGOT'u przewiduje, że na terenie stosunkowo niewielkiej okupacji amerykańskiej znajdzie się połowa całej ludności Rzeszy, gdyż miliony ludzi uciekają z terenów, które zajmą Rosjanie. Zapewne przewódcy Niemiec liczą, że na tym tle dojdzie do starć między Sojusznikami zachodnimi, a Rosją, która będzie domagała się odesłania Niemców.

SZATAŃSKI PLAN

Z tymi planami pogrążenia Europy w zamęt łączy się niewątpliwie

strategia niemiecka. Tak n.p. trzymanie wszędzie portów ma na celu utrudnienie zaopatrywania Europy w żywność. Należy się liczyć z tym, że również porty niemieckie będą trzymane, gdy już całe północne Niemcy będą zalane przez wojska sojusznicze. Podobnie, jak w portach atlantyckich czy w Dunkierce, gdzie Niemcy bronią się po dziś dzień, garnizony zamkną się również w Hamburgu, Bremie i t.d.

Plan niemiecki zapewne przewiduje, że gdy na rozległych terenach okupowanych Sojusznicy natrafiać będą na rosnące trudności, to jednocześnie elita narodowo-socjalistyczna bronić się będzie w owej ostatniej redukcji alpejskiej, o której niedawno pisaliśmy na tym miejscu. Ostatnio nadeszły wiadomości wskazujące na nowy szatański szczegół planu niemieckiego. Oto Niemcy przerzucają na teren przysięgłego bastionu bawarsko-austriacko-czeskiego wszystkich jeńców brytyjskich i amerykańskich oraz wybitniejszych więźniów politycznych. Mają oni zamiar traktować ich jako zakładników i pod groźbą zemsty na tych jeńcach uzyskać gwarancję życia dla przewódców Rzeszy.

Trzeba pamiętać, że ci zbrodniarze niemieccy, którzy wiedzą doskonale, jaki los ich czeka, jeśli dostaną się w ręce Sojuszników, nie cofną się przed niczym, byleby ująć zasłużoną karę. Nie mają oni nic do stracenia i użyją wszelkich najbardziej wymyślnych sposobów, byleby tylko ratować swe życie.

Przed wszystkim zaś pragną przeciągnąć walkę jak najdłużej, licząc, że w obliczu tych wszystkich trudności Sojusznicy, choć zwycięscy, zdecydują się na kompromis.

JAK URATOWAĆ EUROPE?

Tak wyglądają plany niemieckie w przededniu ostatecznego uderzenia sojuszniczego poprzez Ren. Trzeba stwierdzić, że mają one z sojuszniczego punktu widzenia obok nie-

bezpiecznych, również i dobre strony. Każdy dzień przedłużającego się oporu niemieckiego w obecnych warunkach oznacza może jeszcze jeden rok potrzebny dla odrodzenia się siły Niemiec. Wydaje się, że nawet zniszczenia po wojnie trzydziestoletniej będą niczym w porównaniu z obecnymi; a przecież wówczas potrzebą było Niemcom dwustu lat, aby się odrodzić.

Ale nie można dopuścić do tego, by Niemcy urzeczywistnili szatański plan pociągający całą Europę w przepaść. A jeśli plany te mają być unicestwione, jeśli narody Europy mają uniknąć losu Rzeszy, to cała polityka Sojuszników musi ulec zmianie.

Jednym z czynników, na który liczą przewódcy Niemiec jest rozczarowanie ludów europejskich tym, co nazywa się „wyzwoleniem”. Te uczucia pragną podsycać i wykorzystywać. Rozczarowanie to ma swoje różne powody. Na zachodzie Anglosasi nie zdołali zorganizować dostaw żywności, bo zabrakło środków transportu, przede wszystkim statków. Kraje Zachodu głodowały i marzyły w ciągu zimy, a teraz głodują nadal. Na wschodzie Europy sytuacja żywnościowa jest równie zła, ale schodzi na plan drugi wobec większej jeszcze zmyru braku wolności politycznej. W Polsce i gdzieindziej słowo „oswobodzenie” ma dźwięk fałszywej monety.

Nie jest wykluczone, że w związku z tym Niemcy liczą jeszcze na pewnego rodzaju powszechną wojnę domową w Europie, do której doprowadziłyby akcja komunistów w różnych państwach, zwłaszcza w Europie wschodniej, ale także w takich krajach, jak Włochy czy Grecja. I spodziewają się, że pozwoliłoby im to odegrać jeszcze jakąś rolę.

Jeśli chce się te plany i nadzieje przekreślić, to nie wystarczy za wszelką cenę, nawet za cenę zasad, sztucznie utrzymywać jedności sojuszniczej. Trzeba obecną politykę zastąpić polityką opartą o te właśnie zasady, których wprowadzenie w życie byłoby dla Niemców największym ciosem: zasady demokracji, poszanowania prawa i „wolności od strachu i niedostatku”, którą obiecywała Karta Atlantyczna.

Nie można też uratować Europy od grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa, nie wciągając jej do współpracy. Dzisiejsza polityka rozstrzygania losów Europy bez jej udziału, tak jak to stało się na konferencji krymskiej, do niczego dobrego doprowadzić nie może, nawet jeżeliby postanowienia „Wielkiej Trójki” były słuszne i sprawiedliwe, do czego im jest bardzo daleko.

Wchodzimy w ostatnią fazę wojny, może najtrudniejszą, pomimo iż zwycięstwo jest nie tylko pewne, ale bodaj i bliskie. Tylko wówczas zwycięstwo to będzie rzeczywiste, a ofiary milionów Europejczyków i Amerykanów nie pójdą na marne, jeśli polityka wielkich mocarstw przestrzeże będzie zasad, których bezkarnie porzucić nie można.

Londyn, 22 marca 1945.

ALEKSANDER BORAY

Przegląd tygodniowy

Z tygodnia na tydzień

19 marca: Wojska amerykańskie gen. Patton'a po zajęciu Bad Kreuznach znajdują się o 12 mil na pld. zach. od Moguncji.

—Patrole brytyjskie dotarły do dolnego Renu w rejonie Randwijk.

20 marca: Prezydent R.P. na wniosek Prezesa Rady Ministrów rozwiązał Radę Narodową.

—3-a armia amerykańska wkroczyła do Moguncji, zajęła Wormację i ważny węzeł komunikacyjny Kaiserslautern.

—7-a armia amerykańska zajęła Saarbrücken i Zweibrücken, ostatecznie umocnione punkty na linii Siegfrieda. Kolumny pancerne 7-ej

armii połączyły się z oddziałami piechoty 3-ej armii.

—Wojska sowieckie zajęły Brunsberg na pld. zach. od Królewca oraz Altdamm, silnie ufortyfikowane miasto o 4 mile od Szczecina.

—Wojska indyjskie zajęły fort Dufferin i oswobodziły Mandalay.

—Rosja ogłosiła o wypowiedzeniu Turcji traktatu nieagresji, zawartego pomiędzy tymi dwoma państwami 17 grudnia 1925 r.

—Francja, Holandia, Belgia i Luksemburg podpisały umowę gospodarczą.

21 marca: Oddziały pancerne 3-ej armii amerykańskiej wkroczyły

do Ludwigshafen i osiągnęły Ren w tym rejonie.

—Wojska sowieckie zajęły szereg miejscowości przecinając połączenia Gdyni z Gdańskiem.

22 marca: Marszałek Kesselring został mianowany głównodowodzącym wojsk niemieckich na froncie zachodnim na miejsce von Rundstedt'a.

—Lotnictwo Sprzymierzonych wykonało ponad 7 tysięcy lotów na zagłębie Rukry.

—Armie Koniewa połączyły się w Prudniku i odcięły armie niemieckie w tym rejonie.

Wojna na morzu

niemieckiej wciąż jeszcze panują na Bałtyku.

Zdobycie przez Rosjan Kołobrzega /od strony lądu/ jest tylko drobnym epizodem. Ciężar gatunkowy leży dziś pod Szczecinem. W obronie tego portu okręty niemieckie współdziałały zawiście. A załogi Gdańska, Gdyni, Królewca i Libawy starają się zatrzymać na sobie jak najwięcej sił sowieckich. Daremnie...

Gdyby Hitler w roku 1939 wiedział, jaki obrót przybiorą „sprawy gdańskie” w roku 1945 — na pewno nie rozpoczynałby wojny...

MAUR ZROBIŁ SWOJE

„Der Mohr hat das seinige getan” — Maur /nie jak błędnie się mówi „murzyn”/ zrobił swoje. Tym razem jednak „Mohr” jest nazwiskiem kapitana marynarki niemieckiej, który na czele kilku lekkich jednostek dokonał z wysp La Manche'u wypadu na francuski port Granville. Niemcy wzięli jeńców /oswobadzając jednocześnie pewną ilość włas-

nych/, zatopili 5 statków sprzymierzonych i uprowadzili prawdopodobnie do Jersey lub Guernsey szósty, załadowany różnymi zasobami. Załoga niemiecka na wyspach otrzymała cenny zasilek.

W zawiłym archipelagu raf, skał, wysepek Zatokę St. Malo taki wypad był oczywiście możliwy pod osłoną nocy. Nie świadczy on jednak pięknie o czujności obrony wybrzeża w Granville.

INNY WYPAD

Natomiast doskonale udał się wypad czterech kontrtorpedowców brytyjskich na wyspęk norweską Soroy w Galten-fjordzie. Uwolniono 525 Norwegów, zniszczono szereg urządzeń niemieckich. Tym razem niemiecka obrona morska i nadbrzeżna zawiodły całkowicie. A przecież podobno około 300 podwodnych okrętów niemieckich bazuje się na tych wodach.

NA PACYFIKU

Strategia admirała Nimitza i generała MacArthura jest najwymow-

niejszym przykładem idealnej współpracy między marynarką a wojskiem, przy czym zarówno pierwsza, jak i drugie posiadają własne lotnictwo, współpracując tak z nimi, jak i między sobą /lotnictwo marynarki z lotnictwem wojska/.

Ciekawe, że amerykańskie siły lądowe są stosunkowo nikłe — nie przekraczają one na olbrzymich połaciach Pacyfiku dwudziestu czterech dywizji. Japończycy są kilkakrotnie silniejsi, nie mają jednak nigdzie taktycznej przewagi, bo wojska ich rozproszone są na wyspach. Nie posiadają panowania na morzu, Japończycy nie są w stanie koncentrować sił w zagrożonych punktach.

Amerykani — przeciwnie. Wybierają sobie jeden punkt, odcinają go przy pomocy floty i lotnictwa, potem lądują, zachowując lokalną przewagę liczebną i materialną. Nic ich nie obchodzi, że na tyłach znajdują się jeszcze inne siły japońskie, rozrzucone w przestrzeni. Siły te, pozbawione swobody ruchu z powodu braku współpracy z własną mary-

narką — nie są już groźne. Na wielu odcieczach strategicznie wysepkach garnizony japońskie wymierają od chorób i z niedostatku stosownego zaopatrzenia.

Iwoszima jest zdobytą, za wyjątkiem jednego fragmentu. Samoloty U.S.A. uzyskały więc cenną podstawę operacyjną o 750 mil od Tokio. Ciekawe na którą teraz wyspę koleją? A może na kontynent azjatycki... na Chiny!?

W połowie marca flota lotniskowców admirała Spruance dokonała pod osłoną okrętów liniowych wyprawy przeciwko kryjącej się na wewnętrznym morzu japońskiej flocie Mikada. Uszkodzono 16 okrętów, ale nie zatopiono żadnego. Po stronie amerykańskiej jeden okręt ciężko uszkodzony, kilka lżej. Wśród uszkodzonych okrętów japońskich znajdował się mały pancernik najnowszego typu i wielki lotniskowiec. Podobno zniszczono 475 samolotów japońskich i wiele uszkodzono. Amerykanie stracili 19 samolotów...

Wyprawa miała niewątpliwie na celu zmuszenie floty japońskiej do wyjścia na pełne morze. Na razie celu tego nie osiągnięto.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Prasa brytyjska podała dopiero teraz wiadomość o ciężkim uszkodzeniu pancernika „Warspite” w bitwie pod Salerno /wrzesień 1943/. Pancernik trafiony został dwiema bombami szybowcowymi i nie mógł płynąć o własnych siłach. Trzeba było czterech holowników, by go zaciągnąć na Malte, a później do Gibraltaru.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w bitwie pod Salerno uczestniczyły kontrtorpedowce polskie: „Piorun”, „Krakowiak” i „Ślęzak”, przy czym ten ostatni był okrętem dowodzącym kontrtorpedowcami osłaniającymi lotniskowce i krążowniki kontradmirała Vian.

Gdy „Warspite” został trafiony O.R.P. „Ślęzak” ostaniał go swym ogniem, odpięając wraz z innymi okrętami nalot nieprzyjaciela. W następstwie O.R.P. „Ślęzak” był jednym z okrętów eskortujących pancernik na Malte.

Londyn, 23 marca 1945.

JULIAN GINSBERT

GDANSK

1 września 1939 roku około godziny 4.30, Hitler rozpoczął drugą wojnę światową atakiem lotniczym na koszarzy lotnictwa morskiego w Pułku oraz bombardowaniem Westerplatte przez pancernik „Schleswig-Holstein”.

Gdańsk już na długi czas przed wybuchem wojny — był zamieniony na arsenał i bazę hitlerowską. Gdańska „Heimwehr” — po wielu prowokacjach i awanturach — uderzyła w pierwszym dniu wojny na Westerplatte i Orłowo na razie z ujemnym dla siebie skutkiem. W końcu jednak szalona przewaga niemiecka uporała się zarówno z załogą Westerplatte, jak i z obrońcami poczty polskiej w Gdańsku, którzy zginęli co do jednego.

17 września samoloty niemieckie rozrzuciły nad Helem ulotki o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski i beznadziejności dalszej walki. Ale szczuple siły kontradmirała Unruga jeszcze pełne dwa tygodnie broniły ostatniego skrawka wybrzeża. Dopiero brak amunicji zmusił działa polskie do milczenia. Grzmiały one już zresztą wówczas na innych wodach, a suwerenność bandery narodowej zapewniały pływające i walczące po dziś dzień okręty wojenne Rzeczypospolitej.

Teraz, po 5 1/2 latach wojny Hitler doczekał się gorzkich owoców swej polityki. Pod Gdańskiem stoją zwycięskie wojska rosyjskie. W chwili, gdy piszemy te słowa — dnie twierdzy i miasta wydają się policzone.

Gdańsk nie ma szczęścia do Rosjan. Zdobyli go raz w r. 1734, kiedy to Leszczyński musiał z Polski uciekać. Potem w okresie 1813 — 14 bronił go bohaterki Rapp na czele wojsk francuskich, neapolitańskich i polskich — bronił rok prawie przed potęgą Aleksandra I. Teraz, po raz trzeci w dziejach, Gdańsk słyszy działa rosyjskie — a właściwie po raz czwarty, bo w czasie wojny siedmioletniej słyszał je również, choć zdobyć się nie dał.

Okręty i samoloty sowieckie blokują Gdańsk, Gdynię, Królewiec i Libawę, topiąc co się da na niemieckich liniach komunikacyjnych. Lotnictwo brytyjskie bombarduje Świnoujście i Rugię, aby ułatwić Rosjanom zadanie. Ale resztki floty

Następny /15-ty/ numer „Polski Walczącej” ukaże się w normalnej objętości dnia 12-go kwietnia z datą 14-go kwietnia.

Nowość!
PODSTAWOWE ZAGADNIENIA POLSKI WSPÓŁCZESNEJ
 w programie i pracach
Wojciecha Korfańskiego
 Do nabycia w księgarniach i kioskach polskich
 Cena 5/-

ORBIS (London) CO.

dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.

KSIEGARNIE POLSKIE

w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1.

Tel.: HOL 0868

w Edynburgu: 31a, CASTLE STREET.

Tel.: 24705

posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie.

Łatwy podręcznik angielskiego
 w 20-tu lekcjach
 ukazał się już w sprzedaży.

Cena 2/-

Jest to dobry samouczek, dający możliwości szybkiego opanowania języka. Słówka podane z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej konwersacji. Nabywać można wszędzie lub przez pocztę, wysyłając Postal Order na 2/6 do Administracji „CO SŁY. CHAC,” 40, Bruntsfield Place, Edinburgh.



TOWARZYSZ BRONI



Rząd Rzeczypospolitej

Władza wykonawcza Rzeczypospolitej Polskiej jest Rząd, który pod przewodnictwem premiera /obecnie p. Tomasza Arciszewskiego/ kieruje wszystkimi sprawami polityki państwowej Polski. W skład Rządu wchodzi poszczególni resortowi ministrowie, tworzący jako całość Radę, albo Gabinet Ministrów.

W toku tej wojny, działając po klęsce wrześniowej poza Krajem, Rząd wykonywał reprezentację oraz obronę praw i interesów Polski, istniejącej nieprzerwanie, pomimo zajęcia obszaru państwowego przez okupantów, jak również organizuje Siły Zbrojne poza Krajem do walki o wolność, oraz przygotowuje kadry fachowe /jak na przykład: administrację, nauczycielstwo, lekarzy, inżynierów, prawników i t.d./ do prac w Polsce powojennej.

Rada Ministrów składa się z szeregu ministrów resortowych. Nas, żołnierzy, najbardziej interesuje Ministerstwo Obrony Narodowej, zajmujące się — razem ze Sztabem Naczelnego Wodza — sprawami Polskich Sił Zbrojnych to znaczy: wojska, marynarki wojennej i lotnictwa.

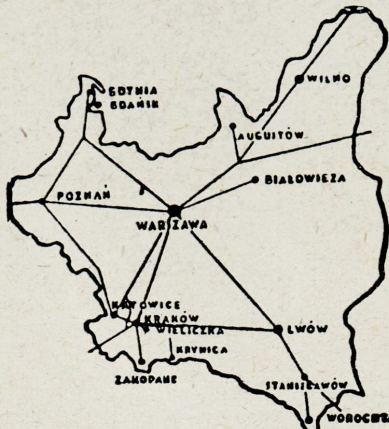
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych utrzymuje łączność z Krajem, oraz rejestruje niemieckich zbrodniarzy wojennych. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświe-

cenia Publicznego zajmuje się zagadnieniami szkolnymi i wyznaniowymi. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej między innymi opiekuje się inwalidami wojennymi, oraz uchodźstwem polskim.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych przez swe placówki dyplomatyczne reprezentuje państwo na zewnątrz, a Ministerstwo Prac Kongresowych przygotowuje imieniem Polski materiały i wnioski na konferencję pokojową. Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi — opracowuje zagadnienia odbudowy życia gospodarczego Kraju, oraz powojennego zaopatrzenia ludności, wyniszczonej wojną. Z działalnością tego Ministerstwa wiąże się Ministerstwo Skarbu, kierujące sprawami finansowymi. Ministerstwo Odbudowy Administracji przygotowuje kadry przyszłej administracji, ze szczególnym uwzględnieniem objęcia zarządu nad tymi terenami, które powrócą do Ojczyzny po wieloletnim okupowaniu przez Rzeszę Niemiecką.

Pozostają jeszcze dwa: Ministerstwo Sprawiedliwości, przygotowujące ustrój prawny, opracowujące projekty ustaw i Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, którego pierwszoplanowym zadaniem jest informowanie swoich i obcych o sprawach polskich, a w szczególności o życiu Kraju pod okupacją.

O zawsze wiernym Polsce mieście Lwowie



Kiedy wymawiamy nazwę: Ziemia Lwowska, to oczom naszym nasuwa się ów zrab węgielny Rzeczypospolitej Polskiej — Lwów. Miasto, które zostało odznaczone krzyżem bojowym „Virtuti Militari”, miasto będące samo w sobie kartą historyczną Polski, legitymacją Jej istnienia. Czy wiecie, że Lwów ma w herbie łaciński napis „Semper fidelis”, co znaczy — zawsze wierny? Albowiem, jak daleko sięgają dzieje, zawsze Lwów był Polsce wierny. I nigdy też — Polska wiernego Lwowa nie opuści.

Czy wiecie też, że jedno z miast na południu Anglii, Exeter, ma również w herbie napis „Semper fidelis”? Dziwnym, zaiste trafem,

koło tego właśnie miasta angielskiego stacjonował swego czasu Dywizjon Lwowski polskiego lotnictwa. I dzięki temu Dywizjonowi, zawiązała się nieprzyjaźń pomiędzy miastem brytyjskim, a dalekim, wiernym miastem Polski.

Wiernie Polsce miasto — zgromadziło w sobie mnóstwo cennych pamiątek historycznych. Gromadziło je pokoleniami, świadczącymi swoim dorobkiem o drogiej sercu każdego Polaka przeszłości Lwowa. Kopiec Unii Lubelskiej, Panorama Racławicka, Cmentarz Obrońców Lwowa, kościoły i pomniki... nie wiemy, co z nich ocalało podczas wojny!

Jedynie to na świecie miasto, szczycące się trzema katolickimi metropoliami obrządków łacińskiego, greckiego i ormiańskiego. Jedynie na świecie miasto, położone na wododziale. Jedne wody Lwowa przez Bug ściekają ku Morzu Bałtyckiemu, inne, przez Dniestr — ku Czarnemu. Tu jest dziejowa strażnica Polski.

Nie ma Polaka, któryby nie miał takiego, czy innego związku ze Lwowem. Nie ma też Polaka, któryby potrafił widzieć Polskę bez Lwowa.

Dzieje Lwowa obfitują w okresy burzliwe. Wiele, bardzo wiele razy podczas minionych stuleci widział Lwów nieprzyjaciela. Wro-

gowie naddiagali, byli, przechodzili, ginęli. I znowu słowa polskie opromieniały niezapomniane mury wiernego miasta.

Ciężko doświadczona serce polskie musi wierzyć, musi mieć tę pewność, że tak jak tylokrotnie przedtem, gdy odpłyną fale potopu wojennego, Lwów, kamień węgielny Rzeczypospolitej, znów będzie opromieniał słowa polskiej wolności.



Herbowy lew Lwowa

Odrodzenie Polskich Sił Zbrojnych we Francji



Obrazek sprzed pięciu lat

Wyrazem niezwykle żywotności, wyrazem niezłomnego ducha bojowego Polskich Sił Zbrojnych jest między innymi to, iż pomimo naszej klęski jesienią 1939 roku, liczne sztabandy pułkowe — znaki bojowe — zostały uniesione z Kraju, przeszły przez wiele zielonych granic i znalazły się we Francji. Dzisiaj te najcenniejsze relikwie polskiego wysiłku zbrojnego przechowywane są na chwilę powrotu do Kraju, w oddzielnym Muzeum Wojska w Szkocji.

Jedną wielką jednostką wojska polskiego, jaka przedarła się przez pierścień wroga z Kraju, przez granice obce i miejsca internowania, stała się, ponownie odrodzona

we Francji, 10 Brygada Kawalerii Pancernej, zwana Krakowską, walcząca pod dowództwem gen. Stanisława Maczka. Część tej wielkiej jednostki, zaopatrzona we francuski sprzęt pancerny biła się dzielnie o wolność Polski latem 1940 roku na ziemi francuskiej. Niemcy po raz drugi w czasie tej samej wojny nabrali przed nią respektu, zwąc ją „Czarną Brygadą”. Dla upamiętnienia tego faktu gen. Sikorski jako Naczelny Wódz nadał żołnierzom Brygady prawo noszenia czarnego lewego naramiennika.

Inną wielką jednostką, zrodzoną na ziemi francuskiej, była Brygada Strzelców Podhalańskich, która w maju 1940 roku, pod dowód-

stwem gen. Szyszko-Bohusza, walczyła z Niemcami w Norwegii. Dzięki jej wartościom bojowym — zdobyto Narwik. Było to pierwsze sojusznictwo zwycięstwo nad Niemcami po zakończeniu kampanii w Polsce.

Niemniej chlubnie zapisały się w toku tej wojny obie walczące na ziemi francuskiej latem 1940 roku: 1 Dywizja Grenadierów pod dowództwem gen. Duchy, oraz 2 Dywizja Strzelców Pieszych pod dowództwem gen. Prugar-Ketlinga.

Na polach Szampanii i Lotaryngii obie nowopowstałe dywizje polskie spisały się wspaniale. A jak lojalnie i po bohatersku walczyły, świadczy jeden fakt. Marszałek Pétain w imieniu Francji zwrócił się do Hitlera o rozejm dnia 17 czerwca 1940 roku, zaś nasza 1 Dywizja Grenadierów walczyła do 21 czerwca, o cztery dni dłużej, osłaniając odwrót Francuzów.

1 Dywizja Grenadierów, po wyczerpaniu możliwości walki została rozwiązana, a jej żołnierze następnie przedzierał się wszelkimi możliwymi drogami, by ponownie znaleźć się we własnych szeregach.

2 Dywizja Strzelców Pieszych, po załamaniu się Francji, znajdując się w pobliżu szwajcarskiej granicy — była zmuszona dać się internować przez Szwajcarów. W Szwajcarii dotąd przebywa wielu żołnierzy tej Dywizji.

Niezależnie od tych wielkich jednostek — przy boku dywizji francuskich były się walecznie, do ostatka wykonując powierzone zadania — samodzielne kompanie przeciwpancerne. Było ich bez mała dwa dziesiątki.

Z miejsc postoju

Na rozlicznych miejscach postoju odbyły się ostatnimi czasy akty zaprzysiężenia żołnierzy. Dnie przysięgi stały się dużym zbiorowym przeżyciem. Powagę tych chwil nie omieszkaliśmy podkreślić w szeregu wypadków lokalna prasa szkocka, przede wszystkim stwierdzając fakt odbierania przysięgi od żołnierzy zarówno przez księży kapłanów katolickich, jak i ewangelickich, oraz prawosław-

nych. Prasa szkocka zaakcentowała przy tym, że jest to wyraz naszego równouprawnienia i tolerancji religijnej.

Rota przysięgi żołnierskiej, składanej przez nowych kolegów, zawiera sakramentalne słowa:

— „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedyńemu, być wiernym Ojczyźnie mej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na

straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach, i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen!”

Ucz się po angielsku!



Hands up 'or I fire!

/rysunek z książki „English for the Allies”/

Nasze miejsca postoju znajdują się od dawna na terenie Szkocji; ludność szkocka posługuje się językiem angielskim. Jest to wynik wewnętrznego zjednoczenia narodowego Wielkiej Brytanii, pomimo, iż nie wszystkie części ludności tego kraju są pochodzenia rdzennie angielskiego.

Szkocja dopiero na początku XVIII-go wieku, po licznych i krwawych wojnach, zawarła unie /związek państwowy/ z Anglią. Książki, gazety, słowo w życiu publicznym większych skupisk Szkocji, jest takie same, co w Anglii. Niemniej, ludność w poszczególnych częściach kraju mówi językiem miejscowym /dialektem/, który wykazuje pewne różnice.

Niewątpliwie różnice te spotęgacie, zwłaszcza, kiedy zestawicie odmienności wymowy Waszych nauczycieli z wymową okolicznej ludności. Niech to jednak Was od nauki języka

angielskiego nie odstrasza, bo całkiem niezależnie od tych drobnych odmienności — miliony ludzi ze wszystkich zamieszkałych pięciu części świata, mówią właśnie tym językiem. Po angielsku.

W programie zajęć macie również i lekcje języka angielskiego. Powinniście się do nich solidnie przykładać i traktować je jak najpoważniej.

Być może, łatwo Wam nieprawdnie dogadać się ze szkockim znajomym. Powinniście jednak zwracać uwagę na poprawność wysłowienia, na dobór wyrazów, na umiejętność i właściwe stosowanie form gramatycznych.

Więc też przykładajcie się do lekcji języka angielskiego, i uczcie się, uczcie. Czytajcie, piszcie. Zapamiętujcie zwroty i słówka. Bo kiedy miną lata wojny, gdy po wojnie tułacz i żołnierz znajdziemy się nareszcie pośród swoich, we własnym domu, ci, którzy z nas przyniosą do Ojczyzny oprócz doświadczeń życiowych i wojennych, jeszcze znajomość języka angielskiego — przyniosą dodatkowo bardzo cenny podarunek dla narodu polskiego.

Bo staną się łącznikami z ludźmi, którzy po angielsku mówią od urodzenia. Którzy zamieszkują nie tylko Wielką Brytanię, ale i Stany Zjednoczone, Kanadę, Australię, i Nową Zelandię. Są też i w Afryce i w Azji.

Dzielny Polak

Sierżant Aleksander Drabik — Amerykanin polskiego pochodzenia — pochodzi z miejscowości Holland w stanie Ohio jest żołnierzem amerykańskim, który zdobył sobie w ostatnich dniach największą sławę. Stał on jako pierwszy żołnierz amerykański na prawym brzegu Renu, zdobywając most Ludendorffa pod Remagen. Most ten określany jest jako „najcenniejszy na świecie”, gdyż zdobycie jego może w wysokim stopniu wpłynąć na losy obecnej wojny.

Gdy jeden z plutonów batalionu Drabika nacierających na most został ostrzelany z karabinów maszynowych i zatrzymany, wówczas Drabik, na czele 10-ciu żołnierzy pędem przebiegł most, minął dwa niemieckie karabiny maszynowe, broniące wejścia i strzelał cały czas przed siebie w otwór tunelu po drugiej stronie mostu. Osiągnął wschodni brzeg Renu, na-

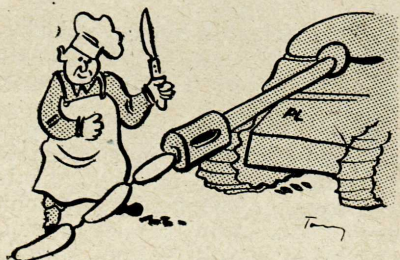
tychmiast okopał się ze swym oddziałkiem i zabezpieczył przejście dalszym oddziałom swej 9-ej Dywizji Pancernej.

Aleksander Drabik po polsku mówi zupełnie dobrze, choć nigdy nie chodził do szkoły polskiej. Języka polskiego nauczyła go matka. Oboje rodzice Drabika urodzili się w Polsce i pochodzą z Małopolski Zachodniej.

Przypomnieć tu należy, że pierwsza armia amerykańska pod dowództwem generała Hodgesa, która utworzyła pierwszy przyczółek na wschodnim brzegu Renu, jest tą armią, która przyjęła na siebie główne uderzenie kontrofensywy Rundstedta w Ardenach w grudniu ub. roku. Przez dziwny również zbieg okoliczności przekroczenie Renu przez Sprzymierzonych nastąpiło w 9-tą rocznicę /7-go marca 1936/ wkroczenia Niemców do zdemilitaryzowanej Nadrenii.

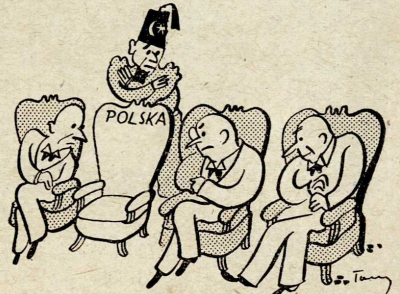
W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy „Polski Walczącej”, należy odjąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. „Towarzysz Broni” winien docierać do wszystkich.

W POGONI ZA JAJKAMI!
—Gdzie pan spędza Święta?
—U znajomych Szkotów.
—To katolicy?
—Nie, farmerzy, ale mają dużo kur...
OSTATNIA NADZIEJA
—Na co Hitler jeszcze czeka?
—Na pomoc!
—Skąd?
—Chyba z U.N.R.R.Y. ...
ŚWIĘTA W I-EJ DYWIZJI



Człg do wszystkiego ...
NIE PCHAJ PALCA! ...
—Czy pan słyszał, że Hausman z "Lwowskiej Fali", ten harmonista, ma wzbroniony wstęp do kina?
—Dlaczego?
—Przez nieuwagę skaleczył sobie palec i "Fala" musiała odwołać wszystkie przedstawienia ...
TEŻ PRZYSZEDŁ ...
—Pan wie, że wynaleziono środek na V.2! ...
—Jaki?
—Środek Londynu ...

HISTORIA POWTARZA SIĘ W SAN FRANCISCO



—A gdzie reprezentant Polski?
Turek: — Posel Lechistanu jeszcze nie przybył ...

KORZYŚĆ Z WOJNY

Pan Zabłocki w Londynie podobno się ciska, że jego się w przysłowiu używa nazwiska.
Więc zmieńmy to przysłowie, niech żyje spokojnie!
Więc mówmy lepiej: **WYSZEDŁ JAK POLAK NA WOJNIE.**

Or-Si



WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...



CHCĄ WALCZYĆ ...

Korespondenci donoszą, że na terenie Holandii powstało już kilkadziesiąt małżeństw polsko-holenderskich. Zarząd miasta Bredy miał nawet ofiarować setnemu Polakowi, zaślubiającemu Holenderkę czteropiętrową kamienicę i 10.000 guldenów ... W związku z tym kilku oficerów w stanie spoczynku w Szkocji zgłosiło się "na ochotnika" do 1 Dywizji Pancerniej ...



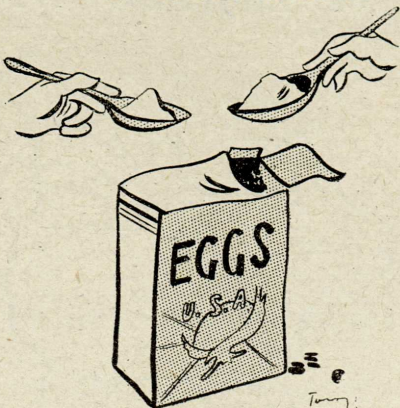
WYJAŚNIŁ

Mały Staś zapytuje ojca:
—Tatusiu, co to jest demokracja?
—Jak podrośniesz Stasiu, to zrozumiesz!
—Kiedy ja chcę teraz wiedzieć!
—To ci wytłumaczę. Otóż demokracja, to jest taka reklama, którą puszczają w gazetach, kinach, w radio ...

W SZKOLE PŁATNIKÓW

—Słuchajcie, Grünberg, jeżeli marszałek Koniew posuwa się 20 mil na dobę, a Montgomery 2 mile dziennie, to w jakim czasie i w jakim miejscu się spotkają?
—Nigdy!
—Dlaczego?! Nie umiecie liczyć?
—Ja już sobie w głowie obliczyłem. Nim się spotkają, to już dawno będzie po wojnie ...

DZIELENIE SIĘ JAJKIEM



w szóstym roku wojny ...

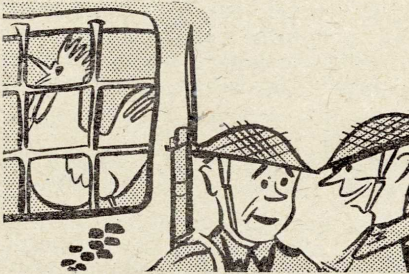
ZAŻDROŚĆ PRZEDŚWIATECZNA



—Pani widziała ile ma jaj?
—Owa! chodzi ta lafirynda na "blackmarkiet" więc ma! ...

W HOLANDII

ARESZT GARNIZONOWY



—Za co on siedzi?
—Za współpracę z Niemcami — nie chciał znosić jaj na święta ...

Tekst i rysunki: TONY

ROZMOWA W HOTELU

W gronie Szkotek toczy się dyskusja na temat temperamentu Polaków.

—Ja się boję wpuścić Polaków do domu. Słyszałem, że po trzech dniach już flirtują! ...

—Nie podobnego — odzywa się sześćdziesięcioletnia lady — u mnie mieszkał przez miesiąc młody podchorąży i bardzo poprawnie się zachowywał ...



WIOSENNY BOTANIK

—Panie szefie — zwraca się do wódca do jednego z podoficerów w "Rubensie" — niech się pan ocknie, chodzi pan jak otumaniony ...
—To wszystkiemu winna ta miłość botaniczna, panie majorze ...

NIE KIJEM GO TO PAŁKA!

Ogłoszenie w prasie: "W okresie Wielkiego Postu odbywać się będzie w każdą niedzielę w Klubie X ... od 16 — 20-ej, zamiast "koncertu muzyki tanecznej" — "koncert muzyki salonowej" ...

WŚRÓD NASZYCH PANCERNIAKÓW W HOLANDII

—Idę na kurs! ...
—Po ile? ...

ROZMOWA Z ANGLIKIEM

Rzekłem raz do Anglika: "To rzecz oczywista, że w waszym rządzie winien zasiąść komunista".
Lecz Anglik się oburzył: "Nigdy! Żadną siłą!"
A więc: **NIE CZYŃ DRUGIEMU, CO TOBIE NIE MIŁO.**

Or-Si

PRZED ŚWIĘTAMI ...
Westchnienie wyeliminowanego polityka w Londynie:
—... żeby mnie tak obrzucili jajami ...

POCIESZENIE

Francuz do Polaka:
—Nie martwcie się, że nie macie krzesła w San Francisco, jeszcze wam podstawiają stołki ...

PRZED ŚWIĘTAMI NA FRONCIE



—Feluś, jutro przeczytamy komunikat wojenny: "drobne utarczki patroli. W ręce nasze wpadł jeden z ważnych obiektów niemieckich" ...

TRAFNE OKREŚLENIE

Jednego z wybitnych Szkotów zapytuje Polak:
—Proszę pana, jak pan sądzi, kiedy wojna się skończy?
—Trudno mi na to odpowiedzieć, w każdym razie wtedy, kiedy nie będzie się już opłacała ...

W ZWIĄZKU Z "PÓŁ-GŁOSEM" DLA POLSKI W SAN FRANCISCO



... Polska może przemawiać tylko pół-głosem proszę!!!

Na pomoc Warszawie: £3,103

NA PACZKI OD SERCA
Por. J. H. z S. za miesiące: styczeń, luty i marzec na paczki dla jeńców £2 sh. 8.

O. Witort zamiast rozsyłania powinszowań z powodu awansów składa £1 na pomoc jeńcom z Armii Krajowej.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH B. 14-EJ WIELKPL. DYW.

Proszę o przyjęcie sh. 5 w P.O. na Fundusz wdów i sierót po poległych żołnierzach 14-ej Wlkp. Dyw. Piech.
Krystyna S.

IV Kompania Ośrodka Zapasowego 1 Dywizji Pancerniej złożyła na Fundusz dla pomocy ludności Warszawy kwotę £44 /czterdzieści cztery funty/.

Z okazji imienin Dowódcy Komp. szeregowej 2 Komp. Przejściowej K.U. Nr. 1 Sands House, składają na sieroty po poległych w Kraju £1 sh. 1 /słownie: funtów jeden, szylingów jeden/.

Z okazji imienin męża, zamiast prezentu dla niego, załączam p.o. na £1 na fundusz pomocy Warszawie.

W rocznicę śmierci Ojca składam £1 na "pomoc dla Warszawy".
K.W.

W dniu imienin Matki pozostałej w Kraju, przekazuję £1 na "pomoc dla Warszawy".
L.B.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £48.10 /słownie: czterdzieści osiem funtów, jeden szyling/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,103.14.7 /słownie: trzy tysiące sto trzy funty, czternaście szylingów i siedem pensów/.

DLA POLAKÓW W ROSJI
Przesyłam sh. 10 na pomoc Polakom w Rosji.
Strumiński

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY
W załączeniu przesyłam Postal Order'y na łączną sumę £2 sh. 4 /dwa funty i cztery szylingi/.
Kwotę tę złożyli angielscy i polscy sanitariusze Izby Chorych "Grove Quarters" na P.C.K. z przeznaczeniem na pomoc dla rannych polskich żołnierzy.
Cz. P. ppor.

DLA WOJSKOWYCH WARUNKI ULGOWE
Pokoje z łazienką i całodziennym utrzymaniem. Wyborne domowe jedzenie.
Wynajmuje się również na week-end.
28 Store Street, Flat 3, Tottenham Court Rd., W.C.1. Tel. MU5. 9285. 322

MONOMARK SERVICE
PERMANENT LONDON ADDRESS
LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES
5/- p.a. Royal Patronage
Write to:
MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

SPIS RZECZY:
Andrzej Pomian: Prawda. — Jerzy Faczyński: Zmartwychwstanie /linoryt/. — Marek Świąciecki: Korpus Polski we Włoszech. — Sir Patrick Dollan: Od szkockiego przyjaciela. — Jerzy Faczyński: Pieśń wielkanocna. — Polska pieśń wojenna: Legiony Dąbrowskiego. — Powstanie Warszawskie /artykuły z "Biuletynu Informacyjnego"/. — Stefan: Wychodzę z Warszawy. — Z wielkich i tragicznych dni Warszawy /reportaż fotograficzny/. — Bolesław Pomian: Ocean — pustynia — dżungla. Cz. V.: Dżungla /zdobiła Janina Konarska/. — Leopold Milanowski: Postój w Ostendzie. — Gustaw Nierad: W kuchni myśliwskiej. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — "Towarzysz Broni" /Rząd Rzeczypospolitej. O zawsze wiernym Polsce mieście Lwowie. Odrodzenie Polskich Sił Zbrojnych we Francji. Ucz się angielskiego. Dzielną Polak. Z miejsc postojów/. — Tony: Werinajsek.

ORBIS (London) Co.
dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
KSIEGARNIE POLSKIE
w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1. Tel.: HOL 0868
w EDYNBURGU: 31a, CASTLE STREET. Tel.: 24705

Poland's Progress 1919-1939/	10/6	Konrad Wallenrod, A. Mickiewicz	3/6
Statistical Atlas of Poland	15/0	Pisma Wybrane, J. Piłsudski	18/0
The Cambridge History of Poland	30/0	Wiersze o Warszawie	7/6
A History of Poland, O Halecki	17/6	Jan III Sobieski, O. Laskowski	8/6
Pan Tadeusz /tłumacz G. R.		Droga wiedza przez Narwik	
Noyes/	3/0	K. Pruszyński	8/6
Peasants, W. Reymont, 4 t. po	12/6	Dywizjon 303, A. Fiedler	6/0
Polish Anthology, T. M. Filip		Anglia Wyspa Nieznana,	
& M. A. Michael	12/6	Z. Grabowski	7/6
Russian Year, K. Pruszyński	12/6	Naród w Parlamencie, M. Szerer	7/6
The Polish Tradition, P. Super	7/6	Marchewka, A. M. Hemar	7/6
Happy Days in Poland	2/6	Bagiet na broń, W. Broniewski	2/6
Stones for the Rampart,		Polska w liczbach	3/6
J. Górecki	3/6		
Słowniki: Angielsko-Polski, Polsko-Angielski	15/0		
J. K. Socz	6/6		

Wydawnictwa albumowe:
Żołnierz Polski w Norwegii, Lewitt — Him 25/0
Polskie Siły Zbrojne w Ciagu Wieków, W. Pacewicz 30/0
Poles in Uniforms, A. Żyw 12/6
Halka — Polish National Opera 12/0

oraz:
wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Ukazała się nowa książka
p.t.
"SZUM MŁODOŚCI"
STEFANA ŁASZKIEWICZA
Cena 10/6
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8, Hope Street, Edinburgh.

BARWNA MAPA POLSKI
wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17½" x 22½ cali, jest już w sprzedaży.
Cena 2/6
Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.
Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, pod adresem Kiosku.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3½ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—
No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialists,
BM/Hyte, London, W.C.1